

Burza nad Azją

Baron Tanaki ma słuszość

Ryga, we wrześniu

Korzystając z odpowiednich warunków zewnętrznych (niepewna sytuacja wewnętrzna ZSRR, zaangażowanie się Anglii na morzu Śródziemnym, kłopoty gospodarcze USA), Japonia przystąpiła do realizacji jednego z kolejnych etapów, t. z. wielkiego programu Nipponu¹⁾.

Na program ten — nazywany przez Europejczyków imperialistycznym — złożyło się zaledwo kilka punktów, ale każdy z nich to — jak powiedział jeden ze specjalistów od spraw Dalekiego Wschodu — krok (może lepiej byłoby — skok?) olbrzymia.

Skoków tych czy kroków, jak kto woli, ma być zasadniczo pięć. A mianowicie:

- 1) Opanowanie Mandżurii, którą zresztą już obecnie uważa się w kraju wschodzącego słońca za drogocenną kolonię, będącą pierwszym posterunkiem japońskiego panowania w Azji
- 2) ujarznienie Mongolii wewnętrznej
- 3) aneksja Chin Północnych
- 4) podporządkowanie Japonii całych Chin oraz
- 5) zlikwidowanie śladów Europy w Sjamie, Indiach holenderskich, Indiach brytyjskich, na wyspach Oceanu Spokojnego, generalna rozprawa z Rosją i w — wyniku: zrealizowanie wielkiego hasła: „Azja dla Azjatów“.

Tak wygląda program. O tym, jak wygląda twórca tego programu — japoński baron Giiszi Tanaka — dowiadujemy się z prasy. Już w lipcu 1927 r. składa on Mikadowi memoriał, w którym kreśli drogi, na jakich należy realizować hasła, mające doprowadzić Japonię do panowania nad światem. W opinii, a zwłaszcza w prasie europejskiej i amerykańskiej podnosi się dokoła tego memoriału ogromny hałas: rząd japoński zaprzecza jego istnienie. Ale mijają lata, a życie i polityka Japonii potwierdzają aż nazbyt wyraźnie, że plan japońskiego barona Tanaki — nazwany planem Wielkiej Japonii — jest jednak realizowany i to — konsekwentnie, nieustępliwie, rocznie.

Posłuchajmy, jak uzasadnia autor tego planu jego celowość:

— „ROZPORZĄDZAJĄC ZASOBAMI CAŁYCH CHIN — pisze baron — w stopniu generała — Tanaki — będziemy mogli opanować Indie, Azję, Cen-

tralną, Azję Mniejszą, a nawet Europę. Ale opanowanie Mandżurii i Mongolii jest pierwszym krokiem, który należy zrobić, jeśli rasa Yamato ma się uwybitnić na kontynencie azjatyckim. Zwycięstwo ostatnie pozostanie przy kraju, który będzie posiadał wystarczającą ilość zasobów żywnościowych. Rozwój przemysłu jest możliwy tylko w państwie, które ma zapewnioną wystarczającą ilość artykułów pierwszej potrzeby i surowców. Rozwój pelen jest możliwy tylko w państwie, które panuje na wielkim terytorium. Jeśli będziemy prowadzić politykę pozytywną, rozmnazając nasze prawa w Mandżurii i w Chinach, to wszystkie te warunki, konieczne do stworzenia wielkiej potęgi, przestaną być zagadnieniami“.

Baron Tanaki ma niewątpliwie słuszość.

Jeśli bowiem Japonii uda się podporządkować taki kolos, jakim są Chiny, bogate w ogromne zasoby materialne, surowce i ludzi, to zrealizowanie hasła „Azja dla Azjatów“ nie będzie przedstawiało wielkich trudności.

A że Japonia dąży do tego — nie jest to już dzisiaj dla nikogo tajemnicą. Najwymowniejszym zresztą dowodem tego jest zrealizowanie już dwu punktów wielkiego programu polityki Nipponu: Mandżuria została opanowana, Mongolia wewnętrzna ujarzmona.

Obecnie przyszła kolej na etap trzeci programu — na podbój Chin Północnych²⁾. Odwrót wojsk chińskich z pod Schanghajū, sygnalizowany ostatnio przez wszystkie agencje telegraficzne świata, stwierdza, że marsz złotych rycerzy Mikada, dla których największy zaszczyt stanowi śmierć na polu walki, jest marszem zwycięskim i że — mimo wszystkie trudności — Japonia, dusząca się na swoich wyspach,³⁾ zrealizuje trzeci z kolei etap tego wielkiego, imperialistycznego programu — programu Wielkiej Japonii — a mianowicie — aneksję Chin Północnych.

Zresztą, jednocześnie z akcją w tej części Chin Japonia prowadzi ożywioną akcję opanowania Filipin, gdzie wpływy japońskie stale rosną. Wpływy Japonii dają się również odczuć w głębi Azji, a mianowicie w Afganistanie, sięgają one do Turkiestanu i Syberii środkowej, z której Japończycy chcą stworzyć niepodległe państwo pod swoim protektoratem.

Ala przede wszystkim Chiny.

Tylko Chiny dzisiejsze, to już nie te same, co ongiś, które Japonia względnie łatwo mogła pozbawić Mandżurii, Mongolii, Turkiestanu chińskiego,

... stare przyjaźnie umocnić, nowe nawiązać - oto jedno z zadań dni dzisiejszych...

Z przemówienia Prezydenta Państwa dr K. Uimanisa na uroczystościach w Bermujży 12. września 1937 r.

Tybetu, Korei i Anamu, czyli szeregu państw i prowincyj, które obecnie już są w całkowitym władaniu Japonii lub pod jej silnymi wpływami.

Chiny się budzą.

Rząd w Nankinie stawia sobie za cel zjednoczenie kraju, który uchodził dotychczas za kolosa na glinianych nogach, ale którego skończoności mieszkańcy są spadkobiercami jednej z najstarszych kultur na świecie.

Chiny się budzą. Chiny chcą wygrać na czasie i zaktywizować cały zasób swej ogromnej energii i potężnej siły, jaką może wytworzyć 500-milionowy, uświadomiony i dobrze zorganizowany naród (Japonia wraz z koloniami liczy przeszło 80.000.000 mieszkańców). Ale Japonia nie może już dzisiaj przekreślić swego imperialistycznego programu. Baron Tanaki był wyrazicielem najgłębszych tajników zbiorowej duszy japońskiej: powiedział głośno to, o czym nikt nie odważył się mówić. Powiedział:

— Chcemy podbić, zorganizować i zjednoczyć Azję.

— Chcemy Azji dla Azjatów.

I dalej?

Dalej zobaczymy.

Azja może się okazać za ciasną. Żółci rozmnażają się szybko. Strasznie szybko. Są wytrwali. Zadowolić się mogą najskromniejszym. Samym żyżem.

Może...

Może ruszą na podbój świata?

Któż to wie...

Em

¹⁾ Największa wyspa Japonii, na której znajduje się stolica Cesarstwa — Tokio. Od wyspy tej Japonię nazywają również Nipponem.

²⁾ Chiny Północne pochłaniały ostatnio 35—45 proc. całego przywozu japońskiego do Chin, a są zdolne pochłonąć go jeszcze więcej. Posiadają one olbrzymie bogactwa naturalne, jak węgiel kamienny, rudę żelazną, sól, można tam uprawiać bawełnę. Chiny Północne są poza tym kluczem strategicznym do podboju reszty kraju, stanowiąc, wraz z Mongolią wewnętrzną, podstawę do strategicznego okrażenia ZSRR.

³⁾ Na niektórych z nich gęstość zaludnienia na 1 km. kw. przekracza cyfrę 200-tu mieszkańców.

Święto Jedności w Berzmujzy



— W związku ze Świętem Jedności, zorganizowanym po raz pierwszy 12. b. m. w okręgu Berzes, w Zemgalii, przybył do Berzmujzy, miejsca swego urodzenia, Prezydent Państwa dr K. Ulmanis.

Po złożeniu wieńców na mogiłach pogrzebanych tutaj ofiar walki o niepodległość Łotwy oraz na mogile rodziców, Prezydent Państwa wygłosił do zebranych na uroczystości w szkole, w której 51 lat temu rozpoczął nauki początkowe, obszernie przemówienie, poświęcone swojej przeszłości oraz przeszłości ziemi, na której się urodził.

Przypominając swoje pierwsze lata w szkole, Prezydent Państwa podnosi rolę nauczyciela do poziomu posłannictwa. Pierwsi nauczycielowie Prezydenta żyją jeszcze obecnie. Są oni przykładem i wzorem tego podejścia do ucznia, które sprawia, że szkoła pozostaje w jego pamięci pogodnym, słonecznym wspomnieniem.

Po okresie szkolnym przyszło samo życie. Prezydent Państwa decyduje się na pracę wśród najbliższego otoczenia i dla jego dobra. Pierwsze kursy mleczarskie. Nauczać innych i uczyć się od innych — oto metoda pracy.

Nadchodzi ciężki okres lat dziewięćdziesiątych ub. stulecia. Na miejsce niemieckiego panowania przychodzi panowanie rosyjskie. Społeczeństwo zaczyna różnić walki klasowe. Nadchodzi kryzys gospodarczy, uderzający w rolnictwo.

I oto padają wówczas, 55 lat temu, słowa o potrzebie jedności i jednomyślności w dążeniu do ideału i w walce o jego urzeczywistnienie.

Ale to, co naówczas było nowe i co później powtarzało się setki i tysiące ra-

zy, nie przestało być aktualnym jeszcze dzisiaj.

— „Dlatego, że są jeszcze obecnie ludzie, którzy z trudem mogą tym nakazom, jedynie słusznym obecnie nakazom, podporządkować się”.

Przechodząc w dalszym ciągu swej mowy do następnych z kolei etapów swego życia, Prezydent Państwa precyzuje m. in. pojęcie lojalności, które powinno, jego zdaniem, bazować się „na wewnętrznej prawdziwości każdego człowieka, która to prawdziwość ujawnia się w jego słowach i czynach, jakkolwiek często zarówno wierność jak i lojalność nie były specjalnie zaprzysięgane”.

I dalej:

— „Wierność i lojalność nie istnieją, jeżeli nad życiem człowieka nie panuje prawo owej wewnętrznej prawdziwości. Lojalność nie istnieje, jeżeli, chwając głosno prawa i zarządzenia, ci, którzy muszą je spełniać lub ci, którzy powinni baczyć, aby je spełniano — po głośnym wychwalaniu owych praw i zarządzeń — myślą w cichości ducha lub w gronie przyjaciół powiadają: nie są one ani dla mnie ani dla ciebie, przyjacielu, pisane; są one pisane dla innych, dla sąsiadów i dalej stojących ludzi, bo, widzisz, ja jestem blisko tych osób, oni dobrze mnie znają i dla-

TYDZIEŃ

tego nie potrzebują tych praw ani zarządzeń wypełniać.

To nie jest ani wierność ani lojalność.”

Wspomnieniem okresu powstania Łotwy oraz stwierdzeniem, że rząd obecny jest stróżem dobra powszechnego, kończy Prezydent Państwa swe przemówienie, przerywane niejednokrotnie burzliwymi oklaskami.

W dalszym ciągu uroczystości Prezydent Państwa wręcza sztandar, przeznaczony dla pierwszej szkoły, do której Prezydent uczeszczał (patrz zdjęcie z lewej).

W przemówieniu wygłoszonym przy tej okazji Prezydent Państwa z zadowoleniem zaznacza, że z okazji 60-lecia dnia jego urodzin, zamiast składania mu prezentów, wpłynęło dotąd ze wszystkich stron Łotwy na konto szkoły w Berzmujzy 120.000 latów w gotówce oraz sporo materiału budowlanego.

Na froncie gospodarczym

— Łotewska Izba Handlowo-Przemysłowa zwołuje w dniach 26. i 27. b. m. pierwszy kongres przedstawicieli nowozałożonych towarzystw handlowców, przemysłowców i właścicieli domów. W drugim dniu, po zamknięciu kongresu, odbędzie się walne zebranie Izby.

— Celem zaznajomienia się z życiem i warunkami pracy polskiego robotnika rolnego w Łotwie przybył do Rygi w ub. tygodniu rada ministerstwa Spraw Zagranicznych I. Ziętkiewicz. M. in. weźmie on udział w najbliższym objeździe inspekcyjnym, organizowanym przez Łotewską Izbę Rolniczą w połowie bieżącego miesiąca. W objeździe tym weźmie poza tym udział Konsul R. P. w Rydze p. Stefan Ryniewicz oraz przedstawiciel Łotewskiej Izby Rolniczej.

— Dzielnicową wystawę Zemgalską odwiedziło około 200.000 osób, w czym 596 wycieczek, liczących 24.500 uczestników. Z zagranicy — zwłaszcza z Polski, Litwy i Prus Wschodnich — przybyło na wystawę około 500 osób.

— Budowa hydrocentrali w Kegumsie posuwa się szybko naprzód. Obecnie prace są prowadzone prawie bez przerwy przy pomocy trzech zmian robotników.

— W r. b. zbiory buraków cukrowych dadzą około 280.000 ton, z których przewiduje się wyprodukowanie około 42.000 ton cukru.

Zbiór buraków cukrowych w całej Łotwie rozpocznie się 27. b. m.

— Komunikacja autobusowa, utrzymywana dotychczas w stolicy przez autobusy 10-tu firm prywatnych, przejdzie do r. 1939 na własność miasta.

— Nowe 2-santymowe monety, które ukazały się niedawno, zostały wycofane

z obiegu, gdyż są one, jeśli chodzi o rozmiary, bardzo zbliżone do 10-santymówek, wobec czego — zwłaszcza przy telefonicznych aparatach automatycznych — zaobserwowano liczne nadużycia.

Kronika oświatowa

— Rok szkolny rozpoczął się w r. b., jak wiadomo, 9. września. W związku z jego rozpoczęciem minister Oświaty prof. dr. A. Tentelis udzielił prasie wywiadu, w którym m. in. stwierdził, że zasadniczą tendencją odpowiednich czynników oświatowych w bieżącym roku szkolnym będzie zjednoczenie mniej licznych, jeśli chodzi o uczniów, szkół z bardziej licznymi. Zostanie poza tym zwrócona baczniej sza uwaga na wychowanie fizyczne i zdrowotność uczniów oraz ich przygotowanie militarne. W 1937/38 roku szkolnym czynne będą w Łotwie 4 instytuty nauczycielskie (liczące 50 klas) z tylną doświadczałymi 6-cio klasowymi szkołami podstawowymi; 4 państwowe szkoły techniczne (w Rydze, Liepai, Jelgawie i w Rezekne) z 47-miu klasami oraz 5 samorządowe szkoły techniczne (w Rydze, Liepai i w Daugawpilsie) z 20-tu klasami. Do szkół technicznych, rozpoczynając od r. b., przyjmowana będzie tylko młodzież płci męskiej.

— W r. b. na Uniwersytet Łotewski przyjęto 910 nowych oraz 415 byłych studentów, rozpoczynających znowu studia.

— Na międzynarodowy kongres przeciwalkoholowy do Warszawy wyjechała delegacja łotewska, licząca 6 delegatów i 11-tu młodzieży. Łotwa weźmie udział również w wystawie zorganizowanej jednocześnie z kongresem.

W ŁOTWIE

Oczyrna prasy

Ażeby wygrać, trzeba umieć przegrać

Wiadomości bieżące

— W związku z ostatnio zamkniętą wystawą Zengalską prasa podaje trochę cyfr dotyczących stolicy Zengalii — Jelgawy.

M. in. jak wynika z tych cyfr ilość Lotyszów w ciągu ostatnich lat 40-tu (1889 — 1935) zwiększyła się w Jelgawie z 45,7 do 78,9 proc., podczas gdy ilość Niemców zmniejszyła się z 27,7 do 6,8, Rosjan — z 21,1 do 4,2 i Żydów z 9,1 do 6 proc.

Naogół ilość ludności w Jelgawie zmniejszyła się w stosunku do ilości przed wojną o przeszło 10.000 osób.

— W ciągu lata b. r. mazułki zorganizowały w Łotwie 105 obozów, w których wzięło udział 10.155 uczestników.

— Mistrzostwa strzeleckie państw Bałtyckich (Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy) odbędą się w sierpniu roku przyszłego w Rydze.

— Antologię poezji polskiej przygotowuje do druku K. Kruza. Antologia ukaze się na rynku księgarskim jeszcze bieżącej jesieni.

— Gwałtowna burza na Bałtyku. Na Bałtyku, zwłaszcza w północno-wschodniej części, szalała ostatnio gwałtowna burza. Starki nie mogły opuścić portów. Nie wyjechały również na połowy rybacy, mimo, że wiatr napędził do zatoki duże ilości lososi. Z Tallina i Helsingforsu donoszą również o silnej burzy, która poczyniła znaczne szkody w połączeniach telefonicznych i sygnalizacji świetlnej.

— Do portu w Wentspils przybył jacht polski „Admirał”, który uciepiał bardzo z powodu burz, szalejących ostatnio nad Bałtykiem. M. in. w czasie jednej z nich trzech członków z załogi jachtu fale porwały z pokładu i tylko zawdzięczając wielkim wysiłkom pozostałej załogi udało się tonącym uratować.

— Do portu Ryskiego przybył na kilka dni polski jacht oficerski „Bożenna”. Załogę jachtu stanowi czterech oficerów marynarki polskiej pod dowództwem Kpt. Mancewicza. Jacht odwiedza porty morza Bałtyckiego.

Maksyma ta ma swoje mądre uzasadnienie. Nie jest zresztą tak paradoksalna, jakby się pozornie wydawać mogło.

Ale do rzeczy.

Chodzi o piłkarski turniej Bałtycki, odbyty w r. b. w Kownie przed kilku tygodniami.

Jak wiadomo, zwyciężyła na nim reprezentacja piłkarska Łotwy. Zwyciężyła zasłużenie.

Ale w warunkach?

Niech o tym mówią poniższe „wycinki prasowe”.

MROŻĄCY CHŁÓD ...

„Briwa Zeme” (Nr. 202 z 8. b. m.), pisząc o decydującej „dramatycznej walce” zespołu łotewskiego z Estonią, notuje:

— „Kiedy nasza czerwono — biała jedenastka wybiegła na pole, które otaczał 8-io albo 9-cio tysięczny mur widzów bratniego narodu, przyjęło nas — mrozącym chłodem. To nie! — otrząsnęli się nasi chłopcy. Ażeby było cieplej, trzeba będzie szybciej się rozruszać. I rozruszali się. Ale mróz, wiejący od bratniego narodu, nie zelżał. Gwizdanie było naszą nagrodą” ...

DROBNOSTKI ...

A oto głos „Sporta Pasaule” (Nr. 420 z 9. b. m.), oficjalnego organu sportu łotewskiego. Tytuł — „Drobnostki” ... Podtytuł: „Publiczność dwóch gatunków”. I tekst (w najcharakterystyczniejszych urywkach):

— „Litewska drużyna piłkarska gra w Rydze. Nie zważając na wielce niesympatyczne wysoki prasy litewskiej po rozgrywkach o mistrzostwo Europy w koszykówce, nawołujemy do przyjęcia naszych gości z prawdziwą sympatią.

Piłkarze litewscy wybiegają na boisko — nasza publiczność wita ich gromkimi oklaskami, ponieważ są oni naszymi gośćmi, jesteśmy gospodarzami, jest to nasz dom ...

... Gra się rozpoczyna. Publiczność nasza jest obiektywna i każde ładne zagranie Litwinów wita z zadowoleniem. Po powrocie do siebie prasa litewska pisze, że zachowywanie się publiczności w Rydze było wzorowe”.

A teraz inny obrazek (z tej samej notatki w dalszym ciągu):

— „Drużyna piłkarska Łotwy gra w Kownie. Walczy o Bałtyckie mistrzostwo w piłce nożnej. Gra Łotwa z Estonią. Nasza drużyna wybiega na boisko. Publiczność spotyka ją mileżeniem. Wybiega drużyna estońska. Witają ją gromkie oklaski. Czy się skarżymy lub zazdrościmy? Nie. Estończyków bowiem również uważamy za bratni nam naród Bałtycki. Tylko każdy z nas osobiście czuje, że jeśli już kiedyś byliśmy w jakimś domu, w którym gospodarz zademonstrował wobec nas swoją niechęć, to do domu tego pójdziemy niechętnie. Odpowiedzą mnie: tak, ale nie można wpłynąć na uczucie publiczności. Oczywiście, zgadzam się z tym w zupełności, ale dlatego piszę o publiczności dwóch gatunków. Nasze poglądy w tym względzie pozostają niezmiennione. Również w przyszłości nawołować będziemy wszędzie i zawsze

naszą publiczność sportową do zachowania gościnności oraz do przyjęcia każdego naszego gościa tak, jak to przystoi dobrze wychowanemu gospodarzowi domu. W tym względzie przed prasą leży ogromna praca, wdzięczne pole do działania. Zrozumiałą jest rzeczą, że potrzebna jest również dobra wola” ...

Pod tym samym tytułem „Drobnostki” znajdujemy jeszcze inną notatkę, którą cytujemy dosłownie:

— „Zawody międzynarodowe. Witamy, z radością każde sportowe osiągnięcie naszych sąsiednich narodów. Uznajemy, wyższość Estończyków w ciężkiej atletyce, cieszymy się ze zwycięstwa Litwinów w koszykówce, z prawdziwie wielkich zdobyczy Estończyków na olimpiadzie strzeleckiej, podnosimy wszystko to, co zostało zdobyte w napiętej, rycerskiej walce. Radujemy się również z naszych wyników w piłce nożnej, jeździe szybkiej na lodzie etc. Ale całkiem się nie cieszymy, jeżeli naszą walkę sportową między sobą podnoszą do poziomu jakiejś gry losu. Powiadają, że jeśli stracimy, to świat się zawali. I jeśli już straciliśmy, to odegramy się przede wszystkim w prasie. Nasz Wódz, otwierając mistrzostwa Europy w koszykówce, powiedział, że trzeba się uczyć wygrać honorowo, ale tak samo ważnym jest umieć przegrać z honorem. Przytrzymujemy się tej maksymy, i jej w przyszłości trzymać się będziemy. Wiemy też i wierzymy, że cała łotewska publiczność sportowa w tym względzie będzie nas naśladowała. —

W dopiero co odbytym Bałtyckim turnieju tenisowym reprezentacja Łotwy przegrała — pozostała na ostatnim miejscu. Ale nasza publiczność oklaskiwała jednakowo wszystkich zwycięzców — nawet wtedy, gdy przegrywali gracze łotewscy.

W taki sposób wychowywać będziemy naszą publiczność sportową również w przyszłości. I tylko przy zachowaniu tego warunku warto jest podejmować organizację zawodów międzynarodowych między najbliższymi sąsiadami. Jeżeli ten warunek nie zostanie dochowany, jeżeli żądza będzie brała górę nad cierpliwością i przystojnością, lepiej wtedy nie organizować między sobą zawodów dla dobra miłego, sąsiedniego spokoju” ...

WSZYSTKO NA ODWRÓT ...

W tym samym piśmie „Sporta Pasaule” (Nr. 421 z dnia 13. b. m.) znajdujemy pod powyższym tytułem taką oto wielce charakterystyczną notatkę:

... „Jeszcze o Bałtyckim turnieju piłkarskim. Na znaczkach, które uczestnikom turnieju sprezentował związek litewski, widnieją pięknie rozmieszczone barwy narodowe trzech państw. U samej góry widzimy litewskie, dalej następują estońskie i dopiero — jako ostatnie — barwy łotewskie. Walka jednak wykazała, że najdumniej może powieść sztandar Łotwy, potem Estonii, natomiast obrońcy barw litewskich musieli zadowolić się ostatnim miejscem. Znowu wszystko na odwrót” ...

Księgarnia Polska

G. Butkiewicza

Ryga, ul. Kr. Barona 14,
(wejście z Elizabetes)

Na okres szkolny poleca nowe podręczniki:
ZALIT — HISTORIA POWSZECHNA —
TLUM. R. CIESIULEWICZ

TOMAS — GEOGRAFIA. EUROPA I
KRAJE POZAEUROPEJSKIE —
TLUM. W. WILCZYNSKA

oraz wszystkie podręczniki w języku łotewskim i polskim używane w szkołach polskich

Dział religijny

Ewangelia na osiemnastą niedzielę po Zielonych Świątkach

ZAPISANA U ŚW. MATEUSZA W ROZDZ. 9, W. 1—8

Wówczas: Wstąpił Jezus do łodzi, przepłynął się na drugi brzeg i przybył do miasta swego. A oto przyniesiono Mu porażonego, leżącego na łożu. Jezus zaś, widząc ich wiarę, rzekł do porażonego: Ufaj synu! Odpuszczają ci się grzechy twoje. A oto kilku uczonych myślało sobie: On bluźni! Ale Jezus, przejrząwszy myśli ich, rzekł: Czemu złe myśli żywicie w sercach waszych? Cóż jest łatwiej? — Powiedzieć: „Odpuszczają ci się grzechy twoje”, — czy też powiedzieć: „Wstań i chodź swobodnie?” Żebyście jednak wiedzieli, iż Syn człowieczy ma na ziemi moc odpuszczania grzechów, — przeto mówię do porażonego: Wstań, bierz łożę twe, a idź do domu twego. A on zerwał się i odszedł. Rzesze zaś, widząc to, przelękły się i wielbiły Boga, który dał taką moc ludziom.

NAUKA

I przyszedł do miasta swego...

Ewangelista nazywa Kafarnaum miastem Pana Jezusa, dlatego, że w tej miejscinie Pan Jezus często i najchętniej przebywał. Pomyśl, jakie to nadzwyczajne wyróżnienie dla Kafarnaum, że się nazywa miastem Pana Jezusa. Czy mógłbyś pomyśleć, że Pan Jezus wioskę lub miasteczko, które Ty właśnie zamieszkujeś, nazwałby wioską lub miasteczkiem swoim? Z miast, które nazwałby miastem najkochanyszym?

Myśl dalej: która wieś, która parafia byłaby Jezusowi dzisiaj na naszej ziemi najmiłszą i najdroższą?

Przyszedł do miasta swego — czyli że przybył do swoich...

François Mauriac

Życie Jezusa

Wypowiedziane przez człowieka byłyby te słowa osądzone jako potworne. Gdybyśmy się nie obawiali zbyt śmiałym obrazem pozornie naruszyć nierozdzielność obu natur, powiedzielibyśmy, że tu również Bóg wznosi groźną swą głowę ponad związki krwi, że występuje z ciała. Judaszowi zdaje się, że rozumie tę mowę nienawistną... W rzeczywistości to tamci dostrzegają, że jedynie tylko miłość wcielona może je wygłaszać nie ścigając na siebie piorunów. Judasz wyobraża sobie, że w świecie, poruszonym przez Chrystusa w posiadach, powołani i wybrani będą wolni od ludzkich uczuć, i żadne więzy krwi nie będą ich krępowały. Triumf siły, samotność triumfująca! Przecież mąż z Keriotu może się godzić lub nie na to, co Mistrz opowiada: oto mówi teraz o krzyżu! Należy rozumieć, że ktokolwiek chce go naśladować a nie bierze krzyża swego, nie jest godzien Jezusa... Judasz się uśmiecha: Czyż mu na tym zależy? Pójdzie za Panem, a krzyż zostawi innym.

Judasz do siebie stosuje słowa: „Ten, ktoby znalazł duszę swą, straci ją, a ktoby utracił duszę swą dla mnie, odnajdzie ją.” Niezawodnie! Judasz wyrzeka się wszystkiego, wszystko opuścił, aby iść za Panem. Porzucił interesy, które szły nie źle. Poróżnił się z możnymi ludźmi... zostawiając sobie jednocześnie wolną do nich drogę.

Jezus powiada jeszcze: „Kto was przyjmuje, mnie przyjmuje...” Judasz rozważa to słowo cenniejsze od innych i bardziej brzemienne wspaniałymi konsekwencjami. Ale oto jeszcze jedno, które go pory-

A oto przynieśli mu powietrzem ruszonego...

Co byli to za ludzie, którzy chorego przynieśli do Pana Jezusa? Może byli to towarzysze pracy, może sąsiedzi, może przyjaciele, może nawet obcy ludzie, lecz mający oczy otwarte i serce nie surowe, dostrzegający, gdzie bieda i nędza o ratunek się proszą. W każdym razie byli to ludzie z sercem. Nie mogą, wedle słów św. Marka, docisnąć się do Pana Jezusa — wchodzą więc na dach i z dachu na dół, wprost przed Pana Jezusa, spuszczaają chorego. Poprzez pokrycie dachowe, poprzez sufit i belkowanie Podziwiał czułą troskliwość. Podziwiał zaradność tych dobrych ludzi. Oto niedawno temu spadł z dachu robotnik. Młody człowiek. Z pewnością jeszcze kawaler. Dość długo

leżał nieprzytomny na mokrym asfalcie, zanim go odwieźli. W mgnieniu oka ludzi mnóstwo nagromadziło się naokoło tego nieszczęśliwca — ktoś podskoczył do najbliższego składu i zawezwał telefonicznie pogotowie lekarskie, ktoś dopytywał się o adres, by powiadomić rodzinę. Nikt zaś, dosłownie nikt, nie pośpieszył po księdza, by tego biedaka konającego pojednać z Bogiem. Zabrakło w tej wielkiej gromadzie ludzi, którzyby potrafili umierającemu sprowadzić Boga, tego Boga, który ostatecznie sam jeden ratunek przynieść może. — Dobry człowiek ma pieczę nad bliźnim w potrzebie jego, nad jego ciałem i nad jego duszą. O jak słodko i błogo jest mi na duszy, gdy przysługę bliźniemu wyświadczę! Jakobym się dobrze najadł lub napił, powiada Skarga, gdy innym co dobrego uczynię! Próbuj często być dobrym, a często doznawać będziesz tej uszczęśliwiającej błogości.

Ufaj synu, odpuszczają Ci się grzechy Twoje

Najpierw uzdrowienie duszy a potem dopiero uzdrowienie ciała. I będąc w grzechach ciężkich możesz się modlić, wprawdzie modlić i powinienieś się modlić. Tym chętniej i wcześniej Cię Bóg wysłucha, gdy Ty wpierw Boga posłuchasz i z grzechów się dźwigniesz.

się w pół drogi na płaskowzgórzu. Nie tylko tłum uczni zagradzał mu przejście, ale też wielkie mnóstwo przybyłych z Jerozolimy, Tyru i Sydonu. Mówił w skrytości do swoich przyjaciół „a teraz wyda tej rzeszy ludzkiej słowa, dla których przyszedł na ten świat. Prawie wszystkie to, co ma powiedzieć, mogliby odnaleźć jego słuchacze w tym lub owym wierszu Psalmów. Prorocy dawali już przed nim do zrozumienia rzeczy podobne, ale on, ów Nazarejczyk, mówi jak władzę mający: „A ja wam powiadam...” To jest nowy akcent, najmniejsze słowo ma nieobliczalną doniosłość. Dla każdego innego człowieka wydaje się niemniej zawodnie wołać: „Niechaj będzie światło...” jak oświadczyć: „Przykazanie moje daję wam, abyście się społecznie mitowali...” Ale kiedy mówi Bóg, światło posłusznie spływa na ziemię i źródło nieznanej miłości wytryska w samym sercu surowego Imperium Rzymskiego.

„Błogosławieni... błogosławieni... błogosławieni...” Ci z ostatniego rzędu, którzy słyszeli to jedno słowo wywołane dziewięć razy, mogli przypuszczać, że wieść owa jest wieścią zwiastującą szczęście. I mieli słuszność tak sądzić. Dzięki przemianie bardziej zadziwiającej aniżeli przemiana wody w wino: ubóstwo stawało się bogactwem, a lzy radością. Ziemia należała nie do wojujących, ale do cięchych.

Tylko że każde błogosławieństwo zawiera też klątwę: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie” znaczy, że ci, co się nie wyrzekli rozumu, nie wnijdą do królestwa. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”, daje do zrozumienia, że serca nieczyste nie zobaczą Boga.

(DCN)

Te same słowa przyjęte są przez jedenaście innych serc, które jeszcze nie pojmują ich sensu, ale przyjmują je tak jak dobra ziemia, — nieświadomie. Słowa te zawierają tajemnicę tajemnic: że miłość nie jest ani uczuciem, ani żądzą, ale osobą, kimś. Człowiekiem? Tak, człowiekiem. Bogiem? Tak, Bogiem. Tym, który tu jest. Czy tym, którego trzeba ponad wszystko przekładać? To jeszcze nie dosyć: tym którego jedynie wielbić należy. I biada temu, kto się zgorszył Ci co będą „jego”, będą mogli przejść przez życie z zamkniętymi oczami, niczego się już od ludzi nie obawiając, nie spodziewając. Oddali wszystko, aby osiągnąć wszystko, tak zespoleni ze swoją miłością, że ten kto ich przyjmuje, przyjmuje też Miłość. Te słowa Pana powiedziane szeptem dwunastu wybranych, noszą w zarodku nieulekłość tysięcy męczenników, radość straceńców: odtąd, cokolwiek straszno by ich spotkało, wystarczy przyjacielom Jezusa podnieść oczy w górę, aby zobaczyć otwarte niebo.

XI. KAZANIE NA GÓRZE

Uczniowie zachwyceni byli i drżący, kiedy Pan zstępował z nimi i zatrzymał

Leonard Szafranowski

Dziecko Schanghaju

Nowela

Od tygodnia Schanghaj pograżał się w huk strzałów. Nocami niebo drgało odbłaskiem pożarów i rozpękało jasnością wybuchów. W dzień zasnute było woalem włóczących się dymów i niespokojnym warkotem krwiożerczych ptaków-samolotów.

Od tygodnia pogarda śmierci Japończyków walczyła z godną siebie rywalką... pogardą śmierci Chińczyków... 42-ga nankińska dywizja walczyła o honor Chin. I trzeba przyznać, walczyła do ostatniej kropli krwi. Naprawdę potomkowie samurajów prowadzili do ataku z szaleńczą brawurą małych, krępych, milczących żółtych żołnierzy. Naprawdę skośnooki lud zaścierał gęsto trupami przedpola chińskich okopów.

Okopy ziały bez przerwy ogniem i w huk nieustającym ani na chwilę nie topniały brunatno-zielone szeregi wojowników Mikada.

Lecz nie ma przecież ludzkiej mocy, która by nie uległa przeważającej i działającej bez przerwy sile.

Tak rozumował dowodzący japońską akcją generał Hagosaki. Od dwóch dni żądał telegraficznie posiłków. Nie żądał ażeby przybyli mu bezpośrednio z pomocą... o nie! Sam sobie da radę! Proponował tylko wysadzenie desantu gdzieś... poza okopami chińskimi i... przemaszerowanie w drodze. Plan bardzo prosty i zaoszczędzający dużo krwi... japońskiej, toteż nie dziwnego, że sztab wyraził na zgodę i oto dwa torpedowce „Ketsu-Maru” i „Suba-Hai” oraz transportowiec „Yokohama” przybyły do brzegów i rozpoczęły wyładowywać swój żywy i zbrojny ładunek. Działo się to w pobliżu małej chińskiej wioseczki Weilo. Sung, stary Sung, żył wiele, bardzo wiele lat, toteż odrazu zrozumiał o co chodzi...

Od tygodnia nadsluchiwał odgłosu armatnich strzałów z dalekiego Schanghaju.

Od tygodnia mruczał przed mosiężnym posągami zaklęcia i palił papierki z wypisanymi modlitwami...

Bo Sung był dobrym Chińczykiem. Sung był patriotą i gdyby nie był tak stary, dawno już byłby z braćmi tam... w okopach.

— Hsu-Liang — mawiał swemu czteronastoletniemu wnukowi — pamiętaj, że jesteś Chińczykiem. Chiny to wielka rzecz...

Kiedyś panowaliśmy nad połową świata... i przyjdzie dzień, a zapanujemy nad całym. Bogowie zesłali na nas cierpienie, ażebyśmy doskonalili ducha...

I mały Hsu-Liang słuchał uważnie, patrząc przed siebie błyszczącymi, czarnymi oczyma.

I coś myślał... ten mały skośnooki Hsu-Liang.

I oto teraz stary Sung zobaczył tysiączne szeregi wrogów, które w błyskających bagnietami kolumnach odchodziły na zachód... Tam, gdzie w okopach krwawiła się bohaterko 42 nankińska dywizja. O! Sung żył wiele lat i wszystko rozumiał... O wielki Buddo! Wbiją Chińczykom sztylety w plecy!...

Sung drżącymi dłońmi wydobyl z ku-

ferka lakowe pudelko... z pudełka wyjął pędzelek i flaszeczkę tuszu... potem... — tu Hsu-Liang nie mógł ukryć zdziwienia... nożyczkami wyciął z nowej białej, jedwabnej szaty długi, wąski pasek...

I wtedy zaczął pisać... na tym białym jedwabnym pasku...

Stawał drobne, czarne znaczki, gęsto jeden przy drugim, uważnie, jak gdyby chciał ukryć w tych czarnych hieroglyphach wszystko co przemyślał i przeżył, jak gdyby chciał zamknąć w nich swe zbolale stare serce.

Hsu-Liang patrzył i uśmiechał się... O! dawno już dziadek nie pisał... Od kilku lat... kiedy to pewnego burzliwego wieczoru nie wrócił z połowu Su-Liang... ojciec Hsu-Liang... dziadek wtedy długo siedział na klęczkach przed posągami Buddy... całą noc i cały dzień i dopiero gdy Hsu-Liang zaczął płakać, że chce jeść wstał i przyniósł mleka.

A kiedy gładził po głowie łykającego cchiwie mleko chłopca, Hsu-Liang poczuł jakąś ciepłą kroplę, która spadła na jego rękę... spojrzał z ukosa, zobaczył lzy płynące po policzkach dziadka... Hsu-Liang udał, że tego nie widzi. O! bo on wiedział, że mężczyzna nie powinien nigdy płakać. Pił dalej mleko choć mu coś dziwnie bulgotało w gardle i ścisnęło spazmem żalości za serce.

I teraz dziadek pisał, a Hsu-Liang ciekawie patrzył. Chciałby wiedzieć co oznaczają te czarne znaczki na jedwabiu... Cóż? jeszcze był za mały... dopiero poznał najprostsze zasady pisma... a przecież trzeba było wielu, bardzo wielu lat ażeby pisać tak, jak pisał dziadek...

Dziadek skończył i odłożył pędzelek... podniósł wyblakłe oczy na Hsu-Liang...

Patrzył długo i przenikliwie... Hsu-Liang nie opuścił oczu... Pamiętał, co mu dziadek mówił...

„Tylko zły człowiek boi się spojrzeć w oczy”

Patrzył więc w oczy dziadka i tylko w głębi żrenicy tłęły mu się ogniki pytania.

Wreszcie dziadek przerwał milczenie.

Hsu-Liang... spytał cicho... czy jesteś prawdziwym Chińczykiem?... Hsu-Liang uśmiechnął się...

Przysłowia chińskie

— Jeśli nie możesz poskromić tygrysa, poskrom psa.

— Gdy do rodziny męża wchodzi piękna kobieta, wszystkie brzydkie kobiety są przeciw niej.

— Dobry człowiek na ziemi jest lepszy od archaniola w niebie.

— Złoto próbuje się ogniem, ludzi — złotem.

— Człowiek obrasta w sławę, jak świnia w tłuszcz.

— Zła pięść nie znosi uśmiechniętej twarzy.

— Kobieta łatwiej przystosuje się do nieszczęścia, niż do bogactwa.

— Gdy się decydujesz na ukłon, ukłoń się nisko.

— Nie wysilaj się na rozmowę z żabą ze stawu o oceanie.

— Lepszy pies w czasie pokoju, niż człowiek podczas wojny.

— Jedni budują ulice, inni spacerują po nich.

— Kto raz dosiadł tygrysa, ten już nie potrafi zsiąść z jego grzbietu.

Oczywiście... przecież pochodzi z rodu, który niegdyś panował w tej prowincji... sam dziadek przecież mu o tym mówił...

Sung skinął z zadowoleniem głową...

— Bogowie zabrali z tego świata twego ojca, o Hsu Liang, ja już jestem za stary, i ty musisz go zastąpić...

Słucham dziadku...

Tam, na zachodzie, walczą nasi bracia o honor Chin i o ich całość... Ci Japończycy, którzy tu przyszli — uderzą na nich z tyłu... Tamci nie o tym nie wiedzą... Trzeba ich uprzędzić...

Hsu-Liang poruszył się niespokojnie...

Ja pójde dziadku... znam drogę.

Sung milcząc położył mu rękę na ramieniu i zająrzał głęboko w oczy... Potem ukląkł przed posągami Buddy i szepotał bezbarwnymi wargami...

O Wielki Buddo! Ześlij łaskę swoją na nasz ród i sprowadź zwycięstwo dla naszych braci...

Wstał i rzeczowym tonem rozpoczął u dzielać wskazówek Hsu-Liangowi.

Masz tu ten pasek jedwabiu, ukryj go dobrze pod ubraniem... Wypisałem tam mniej więcej ilu Japończyków tędy przeszło... doręczysz go dowódcy naszych. Staraj się wyprzedzić jak najwięcej japońskich żołnierzy, bo od tego zależy życie tysięcy Chińczyków i los naszej ziemi. Teraz jest ranek, powinieneś w nocy być już w Schanghaju. Strzeż się zwłaszcza gdy będziesz wymijał Japończyków... pójdą oni traktem... a ty bocznymi drogami i polem... będziesz miał do przebycia daleko mniejszą drogę... tym bardziej, że Japończycy muszą iść wolniej, bo nie znają tutejszych okolic... Pamiętaj, że powierzam ci honor rodu Liangów...

Hsu-Liang był dziwnie poważny... skłonił się przed dziadkiem, opierając dłoń na kolanach...

Sung odpowiedział pełnym godności ukłonem.

Noc zapadła i nieprzeniknionym, zda się dotykającym, mrokiem okryła ścieżki, którym dążył mały Hsu-Liang... Hsu-Liang był zmęczony. Chociaż nieraz chodził do Szanghaju, nosząc pracowite wyroby z muszli, w których tak celował dziadek, teraz szedł nieporównanie szybciej... miejscami biegł nawet i czuł jak jego biedne, małe nogi drżą z wysiłku...

Hsu-Liang nawet... trochę bał się... A może z tych krzaków, które w ciemnościach przybierały fantastyczne kształty, wyrwą się zaraz z dzikim wyciem demony Fu-dzi... albo nawet wyjdzie groźny zbój Czang-Tu, który pożera dzieci...

Hsu-Liang trwoźnie zerkał okiem poza siebie i co raz przyspieszał kroku...

O! wy dzieci z całego świata! Białe, brunatne, żółte i czarne, czy nie bałybyście się tak samo, jak Hsu-Liano, a kto wie, może nawet i więcej...

Wreszcie przed Hsu-Liangiem zajaśniała niewyraźnie droga... był to trakt do Schanghaju...

Teraz już było niedaleko do celu... jeszcze godzina, dwie, a stanie na miejscu... z oddali słychać było pojedyncze strzały...

Hsu-Liang cichutko zaśmiał się do siebie...

Odgłosy dalekich strzałów dziwnie przypominały pęknięcie nadmuchianych kwiatów-dzwoneczków.

Jeszcze wczoraj dziadek mu zrobił wymówkę za to, że niszczył w ten sposób kwiaty...

Szarpnął się raz i drugi... lecz za chwilę zrozumiał bezowocność oporu...
Ze zgrozą patrzył na rozgrywającą się przed nim scenę.

Hsu Liang spojrział w górę... W świetle księżycy strzępiaste obłoki przybierały fantastyczne kształty...

Lekki wiatr szeleścił gałęziami przydrożnych drzew i pieścił policzki Hsu Lianga...

Hsu Liang był szczęśliwy... dziadek na pewno nie odwróci oczu z pogardą od niego...

Hsu Liang nie splamili honoru rodu Liangów... ginie w walce, jak prawdziwy, dorosły mężczyzna...

Prawda, nie spełnił swej misji, ale odda krew za sprawę Chin... dziadek na pewno będzie z niego dumny...

Wtem poczuł dotknięcie czegoś zimnego do ręki...

Spojrzał... Przytulony do drzewa rósł krzaczek błękitnych kwiatów — dzwonieczków, One to, poruszane wiatrem, dotknęły jego ręki...

Hsu Liang uśmiechnął się...

Odruchowo sięgnął ręką do lodgy. Lecz co to?... Echo jakichś słów... „Człowiek, który dla zabawy niszczy bezmyślnie kwiaty, daje dowód złego serca i głupoty”...

Cofnął rękę...

W tej chwili ciszę rozdarła japońska komenda... to kapitan Oku Yama.

Żołnierze zarepetowali broń...

Serce w Hsu Liangu trwożnie zakolało...

Czuł, że blednie...

Żołnierze stojącej na drodze kompanii poruszili się niespokojnie... przez szeregi przeleciał szmer...

W panującej ciszy jakoś dziwnie chrząknął sierżant Hito.

Kapitan Oku Yama spojrział groźnie na żołnierzy...

Sierżant Hito wyjął chustkę z kieszeni i chciał zbliżyć się do chłopca, aby mu zawiązać oczy...

Oku Yama skinął przecząco dłonią.

Hsu Liang uśmiechnął się do kapitana...

Oku Yama zagryzł usta i załamującym się głosem warknął komendę... błysnął w księżycu pałasz... Sucho trzasnęła salwa karabinowa...

Hsu Liang jeszcze przez chwilę stał... potem zachwiał się i powoli usunął się na kolana... w gasnącym wzroku zamigotał jeszcze przez chwilę błękit kwiatów... a potem Hsu Liang bezwładnie runął na ziemię... z ust wypłynęła wąskim strumieniem krew i zaplamiła błękit zgniecionych czołem kwiatów...

Dick spojrział na pilnujących go żołnierzy... obydwaj patrzyli w ziemię...

Kompania formowała się do marszu... Oku Yama był ponury i milczący... Nie patrzył w stronę ciała Hsu Lianga. Żołnierze też milczeli... tylko sierżant Hito coś mamrotał i wzdychał...

Żołnierze, pilnujący Dicka, zostawili go i też wstąpili w szeregi kompanii...

Wtem stało się coś czegoś potem nie mógł zrozumieć Dick Paterson.

Oto Oku Yama wrzasnął jakąś komendę... Kompania sprężyła się i... sprezen-

towała przed ciałem chłopca broń... Oku Yama ze skupioną, lecz spokojną twarzą salutował szabłą...

Po chwili na komendę szeregi załamały się, zaszyły czwórkami i oto, odbijając na pruski manier nogami, kompania przedelfilowała przed trupem małego, biednego Chińczyka...

Za kilka dni Dick Paterson siedział w Szanghaju w kawiarni „Carlton” z majorem japońskiego sztabu Matsu Moto...

Walki japońsko - chińskie były skończone... Chińczycy przegrali i sztandar ze wschodzącym słońcem zwycięsko łopotał na zgłiszczach przedmieść Szanghaju.

Zaczynała się wielka epopeja Mandzu Kuo.

Dick skończył opowiadać historie Hsu Lianga i, popijając małymi łykami kawę, entuzjastmował się. — „Co za wspaniały temat do noweli... już mam nawet tytuł... Szanghaj baby... co? Jak pan uważa?”

Matsu Moto uśmiechnął się grzecznie... lecz Dickowi wydało się, że w uśmiechu tym było trochę... pogardy...

— „Tak” ...powiedział... „to dość... ciekawa historia”.

Państwowe Polskie Gimnazjum w Rydze

(Tornia iela 4)

Podania o przyjęcie do gimnazjum można składać codziennie w kancelarii gimnazjalnej. Początek zajęć — 9. września b. r.

Edwin Herbert

Krzew róży

Ogrodnik pewien rodem z Tuluzy...

Ogrodnik pewien, rodem z Tuluzy, pod koniec długiego swego życia wyhodował w ogrodach swych niezwykłą w barwach, w woni i kształtach różę. Krzew jej był wysoki, wyższy od najtęższego rycerza, a kwiaty róży, pojawiające się w czerwcu, nigdy nie rozwierały swej czary, tylko aż do przekwitnięcia pozostawały w lekko rozchylonych pąkach. Płatki róży tej były śnieżnie białe z żyłkami czarnymi, tak iż kwiat każdy podobny się zdawał przedziwnemu puharowi. Zapach jej, niezwykle mocny i odurzający jak wschodnie wonności, rodził się tylko nocą. W dzień róża była piękna, lecz bezwonna, jakby we śnie pogrążona.

Tę to różę w jedynym na świecie krzewie za cenę rycerskiego klejnotu nabył od starego ogrodnika pan de Cardignac, rycerz hrabięgo Rajmunda, i w przeddzień ślubu swego z panną de la Varenne na wielkim dziedzińcu zamku Cardignac zasadził.

Gdy goście po uczcie weselnej późną nocą do komnat się rozeszli, pan de Cardignac sprowadził żonę swą na dziedzińiec i na ławeczce pod właśnie rozkwitłym krzewem przysięgł kościelną przysięgą miłosną na różę przypieczętował.

Tak więc siedzieli oboje na marmurowej ławie na środku dziedzińca ukryci pod gwieździstym płaszczem nocy i w ciemnych ramionach wonnego krzewu.

I mówił rycerz, a głos jego drżał wzruszeniem i tą pewnością, którą miłość daje:

— „Po raz pierwszy spotkałem Cię, Armando, w szumiącym wiosną lesie z łukiem na ramieniu, na koniu czarnym pędzącą za rudą łanią; nawet król zechciał cię podziwiać. Lecz ja nie podziwiałem celnego lotu twych strzał; raczej twoje krucze włosy, które wymknęły się spod kołpaka i okryły ci ramiona jak drugi płaszcz narzucony na pierwszy, błękitny. Potem nieraz przypatrywałem ci się — czy to, gdyś z mieczem w ręku nacierała na swych pachołków na podwórku zamku Varenne, tak iż najbieglejsi cofać się musieli — czy to, gdyś w najskromniejszej szacie kielznała najdziksze konie z stadniny swego ojca.

Upodobałem cię sobie, Armando, i pragnąłem cię poślubić. A gdy ojciec twój przychylił się ku moim gorącym pragnieniom, umyśliłem ofiarować ci jako dar ślubny godny ciebie — ten krzew róży. Obecnie ci są klejnoty, wiem; nawet na pierścionku, godny palca królowej, z najpiękniejszym kamieniem Francji, nie spojrziałaś. Tym pewniejszy jestem mojego wyboru. I jak ten krzew nie opuści dziedzińca zamku Cardignac, tak ja nie opuszczę ciebie. A gdybym musiał odjechać, wziąłbym z sobą kwiat róży, gdyby to wiosną było, lub gałąź cierniową o innej porze, na znak, że przysięgłem, że przysięgi dotrzymam.”

Odrzekła mu pani:

— „Ujrzałam cię, panie, po raz pierwszy przy uczcie u ojca mego. Siedziałeś wśród roześmianej gromady jedynym milczącym i poważnym. Podawałam pijącym dzbany z winem, niczym nie odróżniona od dziewczyn służebnych. Gdy mnie dostrzegła, sama nie wiem dlaczego, przed tobą najlepsze stawiałam wino i najpiękniejszą czarę. Urzekł mnie spokój twojej twarzy i powaga czoła. Nie widziałeś mnie; wtedy chyba nikogo nie widziałeś. Nie wiem czy był to pierwszy znak miłości, lecz długo myślałam o tobie, gdy, ułożywszy się do snu, słyszałam okrzyki twoich towarzyszy i głośny śmiech ojca. Miłym mi się zdałeś, panie, i nie próbowałam przerywać ojcu, gdy mówił mi o tobie.

Zaszczyca mnie dar twój; sądzę, że nie omyliłeś się ofiarując mi różę zamiast sznuru pereł twojej matki, sznuru, o którym słyszałam, że wart jest obu zamków — Cardignac i Varenne. Przysięgę twoją przyjmuję i ufam Bogu, iż pozwoli ci jej nie zламаć.”

Wiele słów i wiele pocałunków nocy tej uchronił szumiący leciutko drżącymi listkami krzew róży przed wzrokiem gwiazd.

Odtąd codziennie o zmierzchu, gdy krzew paki swych kwiatów rozehylał za-

czynal, schodzili na dziedziniec i woni odurzającej się poddawali jak jednej z pieśzcot miłości. Nie brakło im ani słów ani spojrzeń, gdy skronią przy skroni siedzieli w zasłuchaniu radosnym; bogaty jest świat dla dwojga młodych, niezliczone są rzeczy, które powiedzieć należy, bez końca rodzą się rzeczy, które razem trzeba zobaczyć.

Miłość ich trwała niezmienna, krzewem róży szczęśliwie zaprzysiężona. Lecz na jesień drugiego roku po sobie przybył wysłannik królewski, z pismem króla i z bullą papieską. Król Francji i Ojciec święty poprzysięgli grób Chrystusa odebrać niewiernym. Król życzy sobie, by wszyscy wierni wasale z wiosną gotowi byli wyruszyć zbrojnie w jak na „znniejszym towarzystwie własnych poddanych na wschód.

Nie zdążył zakwitnąć krzak róży niezwyczajnej, gdy pan de Cardignac zęgnął się z żoną. Nie płakała, oczy jej płonęły zapalem, sama na mężu poprawiała rzemień i klamry srebrzystej zbroi. Pan de Cardignac, gdy straż nad bramą otrąbiły wyjazd, gdy towarzysze już barwnym węzłem wyciągnęli się na drodze, w blasku chłodnego marcowego słońca podszedł do krzewu róży i ułamał zeń ona ostrymi cierniami gałązkę. — „Kłuc mnie będzie i przypominać o tobie” — zaśmiał się, ucałował żonę i, dosiadłszy białego konia, odjechał za swoim orszakiem, którego śpiewy już ucichały w oddali.

Tego roku na wszystkich gościńcach i drogach państw francuskich, niemieckich i włoskich ciągnęły ze śpiewem pobojnym i z radosnymi krzykami zbrojne gromady. Zieleniły się już pola, słońce przyjaźnie świeciło wędrowcom, a chłopcy pracujący na roli dłonie podnosili do czoła olśnieni błyskami broni wszelakiej i zbroic rycerskich. Orszak pana de Cardignac wkrótce złączył się z orszakiem pana de Varenne; ciągle spotykały się nowe oddziały i coraz rosły hufce, przemierzające Europę, dążące na daleki wschód. Prowadził książę Gotfryd de Bouillon i brat jego Baldwin, pan Flandrii i Rajmund, hrabia Touluzy.

W lipcu, gdy wojska obozowały wśród głębokich dolin Grecji, pan de Cardignac otrzymał przez wysłannika zasuszony, lecz wonny kwiat róży z krzewu na dziedzińcu swego zamku. Kładł go odtąd zawsze przy misce swojej w czas uczt i uśmiechał się do zeschłego pąka, jak przed tym do swojej Armandy. Śmiali się z niego towarzysze, lecz nie zaniechał swego zwyczaju.

Potem przyszły pierwsze utarczki i pierwsze bitwy. Saraceni bronili każdego miasteczka, każdej wioski, każdego szmatu nieurodzajnej, pustynnej ziemi, krzyżowcy posuwali się z wolna, lecz nieustępliwie.

Wojskom nie brakło ni wina, ni tan-cerek; wino przybywało w wielkich beczkach z Francji, z państw włoskich, z Grecji — w każdym miasteczku zdobywali tancerki — tylko chleba i mięsa nie było dosyć.

Aż zdarzyło się, iż w pewnej bitwie pan de Cardignac postradał zasuszony kwiat róży i nie mógł go już kłaść przy swym puharze na widomy znak przysięgi.

Zdarzyło się dalej, że tancerka pewna, imieniem Zelima, upatrzyła sobie zamyślnego rycerza i na kolana mu siadła po odtańczeniu tańca niespodziewanej miłości. Potężne jak granit jest słowo mę-



Wizyta min. Becka w Paryżu w obliczu doniosłych narad genewskich była wydarzeniem o dużym znaczeniu międzynarodowym. W czasie pobytu w Paryżu min. Beck zwiedził Wp. stawę światową. Na zdjęciu widzimy kierownika polskiej polityki zagranicznej przed pa-wilonem polskim w otoczeniu grupy dziewcząt w strojach ludowych

za, lecz spojrzenie kobiety jest jak diament tnący każdą skałę.

Odepchnął pan de Cardignac dziewczynę, nie uległ tancerce. Ale — Saraceni trzymali się dzielnie i hufce obozować musiały długo, miesiącami nie ruszając z miejsca. A tancerka tańczyła ze wszystkimi, lecz dotknąć pozwoliła się tylko panu de Cardignac. A gdy zapłonął on, odepchnęła go. Nie wolno bowiem sprzeciwić się kobiecie, gdy po odtańczeniu tańca niespodziewanej miłości zbliża się do mężczyzny.

Często stawał teraz rycerz pod oknami mieszkania Zelimy. Wśród wąskich ulic grały flety, wieczory rozświetlone chwiały się nad płonąca głową pana de Cardignac. Śmiali się znowu towarzysze z niego i wypominali mu różę przy półmisku i przy puharze; wtedy chmurzył się, przez kilka dni nie chodził do Zelimy i odwracał się plecami do niej, gdy tańczyła w namiocie. Potem jednak szedł znowu pod okno jej i słuchał grania fletów i rytmicznego poszumu bębenków.

Aż pewnego wieczoru spostrzegł, że nie stoi sam pod oknem arabskiej dziewczyny. Stał tam nieznan mu rycerz: gdy podszedł doń, ów potracił go, nie przeprosiwszy. Dobyli mieczów obaj i poprzez smętne pogwizdy piszczałek i śpiew fletów w wąskiej uliczce zadźwięczała stal. Rozdzielili ich pachołcy straży księcia de Bouillon; na jasny dzień, przed obliczem księcia, naznaczyli sobie zbrojne spotkanie.

Nie wiele mieli zabawy rycerze krzyżowi w owe upalne dni palestyńskie. To też nie zabrakło ciekawych, którzy przybyli przyrzeć się pojedynkowi pana de Cardignac z nieznanym rycerzem. Słońce stało wysoko, cieni nie było niemal wcale. Barwne szeregi rycerzy utworzyły koło, gdzie odbyć się miała walka.

Z dwu stron nadjechali ku sobie przeciwnicy: pan de Cardignac na swoim siwym koniu, w srebrzystej zbroi i białym płaszczem na ramionach, obcy rycerz na czarnym koniu w płaszczu błękitnym.

Zatoczyli koni, mieczami sklonili się księciu, potem sobie. A po ukłonie zadźwięczała stal o stal. Biegli byli obaj we władaniu mieczami, więc walka toczyła się długo i niejedna była rana po obu stronach. Lecz nagły cios w ramię, nie wporę odbity, zwałił pana de Cardignac nieprzytomnego na piasek. Rycerz nieznan sklonił miecz przed leżącym wrogiem, potem przed księciem i, nie zatrzymany, wjechał między szeregi widzów; nigdy go już nie ujrzano.

Pan de Cardignac wrócił do przytomności na rękach medyka przybocznego księcia. Na łożu leżała zasuszona róża, taka właśnie, jaką zgubił przeszło rok temu w jednej z pierwszych bitew. Gdy powstał z łoża wiele minęło czasu od walki z obcym rycerzem. Jeruzolima była już zdobyta, wojsk krzyżowych niedobitki wracały już do ziem ojczystych. Wracał i pan de Cardignac: tak samo jak przedtem kładł teraz przy sobie pęk zeschniętej róży, ale już nie uśmiechał się do niej — smutny był i pograżony w zadumie: któż mógł mu wyjaśnić cud przywróconego talizmanu?

W bramie zamku Cardignac, przy dźwięku trąb i wśród okrzyków służby, powitała go Armanda; tym samym uśmiechem go witała, jakim zęgnęła męża trzy lata temu. Razem podeszli do rozkwitłego właśnie krzewu róży. Był jasny, słoneczny dzień czerwcowy. Kwiaty były zamknięte i nie pachniały. Krzew rozrósł się jeszcze bardziej i marmurowa ława prawie znikła pod wiszarem liści. Ale było dość jasno, by pan de Cardignac mógł zauważyć, że Armanda ma przegub dłoni przebity i że kazi piękno dłoni szes-roka bliźna. Na zapytanie Armanda uśmiechnęła się:

— „Na różę poprzysiągłeś, panie, chciałam ci pomóc, byś przysięgi dotrzymał. Więc byłam z tobą i z różą na sercu strzegłam twych kroków...”

A wieczorem rozchyliły się paki i odurzająca woń kwiatów była dla nich jedną z dawno nieznanym pieśzcot miłości...

Połów peret

HIERARCHIE POTRZEB

„Nie, mnie na kupowanie książek nie stać” — mówi pani mecenasowa i idzie na całe popołudnie do cukierni, gdzie rachunek za ciastka i lody wyniesie więcej, niż cena dobrej książki.

„Ja na popieranie sztuki pozwolić sobie nie mogę” — stwierdza ze smutkiem wielki przemysłowiec i w ciągu jednej nocy przegrywa w karty sumę, za którą mógłby nabyć cztery dobre obrazy pierwszorzędnych malarzy.

„Ktoby tam miał na mydło i na czystość w mieszkaniu!” — burczy „pracownik fizyczny” — i, otrzymawszy wypłatę, spieszy do najbliższej ekspozytury wyścigów konnych, gdzie w totalizatorze topi całą „tygodniówkę”.

„Zawracanie głowy z czytaniem — nie mam na to czasu” — wrzśnie do matki nastoletni potomek — i leci na boisko, aby przez sześć godzin z rzędu kopać piłkę.

„U nas, niestety, nie ma pompy w podwórzu, czerpiemy wodę ze studni, jak za czasów Rzepichy” — melancholijnie konstataje właściciel kilkowłokowego folwarczku. Ale w parku ma betonowy kort tenisowy, na który wydał coś około tysiąca. (Pompa? pompa kosztuje aż... osiemdziesiąt...).

„Ja chodzę do teatru tylko za kartkami — wyznaje wysoki dygnitarz. Moja pensja nie wystarcza na takie luksusy”. Ale po teatrze wstępuje na dancing, gdzie przepija, lekko licząc, dziesięć biletów teatralnych.

„Sprawić porządną koldrę? Także coś” — wzrusza ramionami służąca. I kupuje sobie jedwabne pończochy, które jej wystarczą akurat na dwa spacer z „narzeczonym”.

„Francuzkę w tych czasach trzymać do dzieci? To były przedwojenne zbytki” — mówi surowo pani dyrektorowa. I sprawia sobie na nadchodzący sezon nurki, bo karakuly już się jej opatrzyły.

I tak — od samej góry do samego dołu. Na wszystkich szczeblach t. zw. „drabiny społecznej”.

Kto wie? Może tylko na właściwym ustaleniu hierarchii potrzeb polega to, co nazywamy kulturą?

NIEDYSKRETNA PŁYTA

Idziemy z postępem.

W sztuce Cwojdziańskiego „Freuda teoria snów” — zdracając tajemnicę jest telefon, którego tubę zapomniano odłożyć na widelki.

A w Oslo, jak donosi „IKC”, zdarzyła się sprawa jeszcze bardziej „moderne”. Zdracając tajemnicę była — podstępnie nastawiona gramofonowa płyta.

Pani Riggs podejrzewała małżonka o wiarołomstwo. Ów — ma się rozumieć — przeczył w żywej ocy. Dama nie dała za wygraną. Podczas snu męża nagrała na płycie... jego zaklęcia miłosne, skierowane do jakiejś Maud. „Maud, moje kochanie...” — chrapanie. „Maud, skarbie mój” — znówu chrapanie.

To się nazywa niestety w prawodawstwie „przeprowadzić dowód prawdy”. W sądzie, gdzie pani Riggs zażądała rozwodu — tak właśnie to zrozumiano. Pan Riggs zgnębiony oczywistością — przyznał się do wszystkiego.

Rozwód pani Riggs przyznano.

Taka, zdawałoby się, niewinna rzecz: gramofon...

„HONOR” — A NAPIWKI

Jeszcze. Choć raz już o tym było. Parlament francuski, jak wiadomo, ogromnie się ujął za honorem kelnerów i uchwalił dla nich zniesienie napiwków i zastąpienie ich stałym 10-procentowym dodatkiem do rachunku.

Wszystko świetnie — w teorii.

Bo w praktyce — kelnerzy w Paryżu biorą owe ustawowe 10 procent, plus „dobrowolne” nadatki od klienta. A jeśli klient, co się najczęściej zdarza, nie wręcza sumy ściśle należnej, tylko prosi o resztę — no, to kelner z zasady... nie ma drobnych.

W ten sposób i honor jest cały i zarobek podwójny.

KTO MIECZEM WOJUJE TEN OD MIECZA GINIE

Stosuje się to również i do chirurgicznego noża, jak wykazała niedawno sprawa sądowa w Paryżu.

Klientka pewnego instytutu piękności, pani Lennet, chciała się odmłodzić. Kierownicy instytutu — panna Duval i p. Bertin — obiecywali damie, że po operacji wyjdzie od nich jak bóstwo. Zoperowali biedaczkę — no i okazało się, że się rzeczywiście zmieniła. Wyszła — jak maskara.

Sprawa sądowa. Wyrok: kierownicy instytutu skazani są na grzywny pieniężne w sumie łącznej 150 franków. Tylko tyle? E, niel Poza tym pani Lennet otrzymuje od nich 40 tysięcy franków tytułem odszkodowania za definitywnie straconą urodę.

Uparty Nurek



Mal. Slendziński.

Po odzyskaniu niepodległości Polska musiała dłużej jeszcze toczyć walkę o uwolnienie ziem od wrogów. Po wyparciu Niemców z Wielkopolski i zajęciu Pomorza, po uwolnieniu Małopolski przyszła kolej na wyzwolenie ziem wschodnich od bolszewików. 21. kwietnia 1919 r. zdobyte zostaje Wilno, w tydzień po tym uwolnione zostaje Grodno i wojska polskie na początku września dochodzą do Dźwiny. W walkach nad Dźwiną i przy zdobyciu Daugawpilsu decydująca rola przypadła ówczesnemu generałowi, a dzisiejszemu Marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi (z prawej).



24. IX. 1621. r. — Zgon hetmana J. K. Chodkiewicza. Chodkiewicz był jednym z najznakomitszych wojowników swoich czasów, sławnym w całym świecie. Młodość spędził za granicą walcząc w wielu wojnach pod kierunkiem najwybitniejszych ówczesnych wodzów. W kraju, już jako znakomity rycerz, pod wodzą Żółkiewskiego walczył przeciw kozakom. Dopiero jednak walki ze Szwedami dają Chodkiewiczowi sposobność wykazania niepospolitych zdolności wojennych i okrywają go sławą zwłaszcza za wielkopomne zwycięstwo nad Szwedami pod Kirholmem. Dalszych laurów dostarczyła mu wojna z Moskwą. Pod koniec życia, już sterany niezliczonymi trzema wojennymi, starzec, odniósł wielkie zwycięstwo nad Turkami pod Chocimem. Rycerz Chodkiewicz nie tylko wojownikiem znakomitym, ale i mężem stanu dużej miary, którego całocielowy trud dobro i potęgę Rzeczypospolitej miał zawsze na celu.

Portret J. K. Chodkiewicza — miedzioryt Hondiusa

Albin Salcewicz

Jak Ryga witała króla Stefana



15 styczeń 1582 roku był dniem triumfu oręża polskiego oraz polityki Batorego i Jana Zamoyskiego. — W dniu tym bowiem w Jamie Zapolskim, niedaleko Pskowa, zawarty został pokój między Rzeczpospolitą a Moskwą. Na mocy tego pokoju Iwan Groźny oddawał całe Inflanty oraz ziemię połocką we władanie Polski. Pokojem tym zakończony został pierwszy etap wojny o kraje Nadbałtyckie, rozpoczęty jeszcze przed dwudziestoma kilkoma laty, przed upadkiem Zakonu Niemieckiego. Polska wchodziła z tej wojny bezapelacyjnie zwycięska, zagarniając lwią część obszarów nadbałtyckich. Atoli przebieg i wynik wojny dał jeszcze inne, o wiele donioślejsze rezultaty: wykazał naocznie, że Rzeczpospolita kierowana wielkimi mężami stanu, stanowić może niezwyciężoną potęgę. To też zdecydowało, że Ryga, która od blisko dwudziestu lat utrzymywała się prawie na stopie samodzielnej, nie chcąc poddawać się ani Polsce ani Litwie, pozeranym naówczas ogniem niesnasek w czasie bezkrólewia, widząc stale pomyślne rezultaty toczącej się wojny moskiewskiej, zdecydowała przyjąć opiekę Polski. W tym celu Rada miasta Rygi wyprawiła w r. 1581 do Polski delegację, która przedstawiła decydującym kierownikom ówczesnej polityki polskiej

zbiór przywilejów do zatwierdzenia. Po rokowaniach, które się dość długo ciągnęły, Batory przywileje podpisał, poza kilkoma zastrzeżeniami, zwłaszcza natury wyznaniowej. Te ostatnie miał osobiście rozpatrzyć na miejscu i o nich ostatecznie zdecydować.

Jakoś niezadługo po zawarciu pokoju król Stefan, dla uporządkowania spraw inflanckich, w towarzystwie kilkunastu senatorów, wyrusza z Wilna do Rygi, kierując się przez posiadłości Gotharda Kettlera, który, spotkawszy zwycięskiego króla na granicy, towarzyszy mu już do samej Rygi. Do miasta tego zbliżył się król rankiem 12. marca. Zaznaczyć należy, iż Ryga, odkąd istniała, w murach swych nie gościła jeszcze koronowanej głowy. Stefan Batory miał być więc pierwszym monarchą, który przekroczy dumne progi owego hanzeatyckiego miasta. Toteż mieszkańcy Rygi od dawna przygotowywali się do tak niecodziennego przyjęcia. Kupcy wozili wina, bakalie, odnawiano mury etc. Gdy orszak królewski w towarzystwie księcia Kurlandzkiego zbliżał się do Rygi, z miasta wyjechało konno 160 urzędników rady oraz mieszczan na spotkanie króla. Na czele ich, w saniach, jechali burgrabia, burmistrz oraz syndyk. Po powitaniu starszyzna miejska prosiła króla, by ten przejechał przez miasto. Batory tym razem jednakże odmówił i skierował się wprost do Zamku, leżące już poza posiadłościami miasta. Utworzyła się osobliwa procesja. Pochód otwierał oddział drabantów królewskich, ubranych w barwne szaty. Za nimi jeźdźcy księcia Kettlera w sile 200 ludzi, z udziałem syna jego, Wilhelma, dalej w sankach podążał sam stary książę, następnie jechali konno ryżanie oraz sanie wiozące kierowników Magistratu. Ostatnia przed królem podążała eskorta królewska z długimi włóczniami i proporcjami z herbem Batorych. Pochód zamykał orszak królewski. Procesja skierowała się przez zamarzną rzekę, obok miasta, do Zamku. W czasie przejazdu z szanów i murów waliły ciężkie działa. Przez następne trzy tygodnie prowadzono pertraktacje z Rygą w celu odzyskania dla katolików niektórych kościołów. W wyniku tych pertraktacji ryżanie ustąpili kościoły św. Jakuba oraz św. Magdaleny przy klasztorze sióstr cysterek, król zaś zrzekł się praw do kościoła katedralnego (tumu) na rzecz miasta. Dopiero po tym odbył się, 1. kwietnia, uroczysty wjazd króla do miasta. U wylotu ulicy Wapiennej (Kalkiu) miasto wzniosło łuk triumfalny, na którego szczycie umieszczony był sztuczny orzeł, mający specjalnymi poruszeniami powitać zbliżającego się króla. Na arce też były umieszczone dwa napisy:

— „Pogromco Moskali, nasza miłości i radości,
wróć nam za zmiłowaniem Boga złote czasy“
i dalej:

— „Zwycięzylesz Królu Moskali orężem, mieszczan — prawem,
Czyż nie przywrócisz Twym poddanym złotych czasów?“

Prócz tego na rynku ustawiono machinę, która miała wyrzucać ogniste kule i ziać kolorowym światłem. Jednakże impreza po części skończyła się niepowodzeniem. Gdy król z orszakiem znajdowali się jeszcze daleko, orzeł, zawieszony na arce, rozpoczął powitalne ruchy. Za zbliżeniem się zaś króla stał już nieruchomy. Nie lepiej skończyło się z fajerwerkami: nastąpił wybuch, który okropnie poparzył majstra oraz ludzi bliżej stojących. Orszak królewski posuwał się ulicą Wapienną, kierując się ku rynkowi. Przy łuku tryumfalnym stał z muzykantami kantor, który odśpiewał skomponowaną na tę uroczystość odę. Gdy król przejeżdżał przez bramę, anioł, stojący w niej ze złoconą koroną w ręku, trzy razy włożył ją na głowę królowi, wznosząc jednocześnie okrzyk: Salve Stephan Rex Poloniae! Król przyjął te oznaki honoru i należną powagę.

Na przedzie jechali senatorowie, za nimi kanclerz Jan Zamoyski, przybyły z Dorpatu, za nim — Król. Po tym jechał tłum dworzan i rycerzy. Król jechał na czarnym koniu, ubrany na czarno. Ktoś miał jakąś prośbę do króla, ten stał z podaniem w ręku na trasie, którą król miał przejeżdżać. Monarcha osobiście odbierał prośby i kładł je pod czapkę (!). Jednakże wkrótce, z powodu wielkiej ilości, musiał je kłaść w zanadrze. Wszystkie te prośby zostały szybko i sprawiedliwie załatwione. W czasie przejazdu, bez ustanku grzmiały na murach działa.

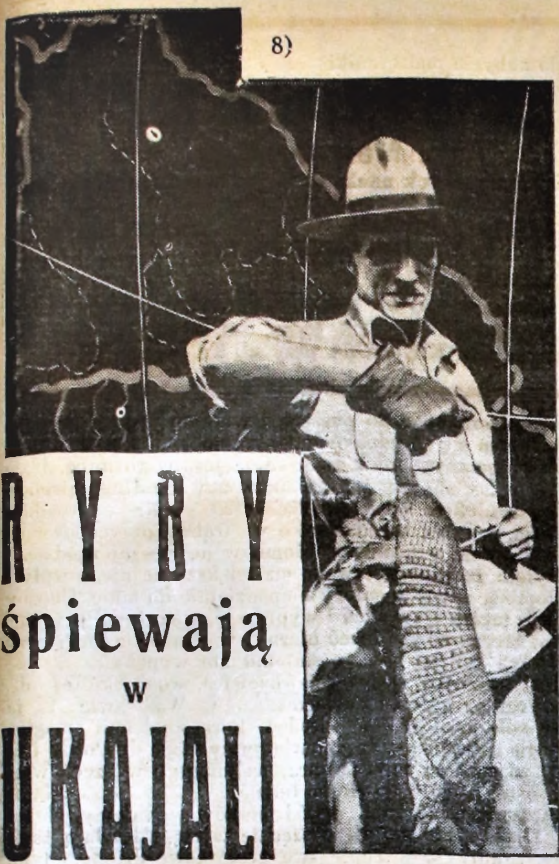
W ten sposób odbył się wjazd pierwszego króla do Rygi.

Stefan Batory bawił jeszcze w Rydze (t. j. mieszkał na Zamku) przez kilka tygodni. Postanowił też wtedy założyć biskupstwo kiewyjskie oraz badał zagadnienia ustrojowe Inflant. W czasie pobytu otrzymał w darze od ryżan olbrzymi puchar, a w nim 1000 złotych florenów.

Naznaczywszy swym namiestnikiem Jerzego Radziwiłła, król Stefan opuścił 2-go maja Rygę i, żegnany, według słów kronikarza, „łzami wdów i sierot“, wrócił do Wilna.

Przy ul. Kalkiu Nr. 14 na oknie I piętra widnieje wymalowana złota podkowa. Legenda głosi, że przy uroczystym wjeździe króla Stefana do miasta znaleziono ją na trasie przejazdu, po czym zawieszono w oknie, przed którym podobno zgubił ją rumak jakiegoś dygnitarza polskiego.

Dziś widzimy ją wymalowaną na ścianie okna, na którym ongiś wisiła podkowa oryginalna. Jest więc jednym ze śladów wjazdu pierwszego koronowanego władcy do Rygi.



8)

R Y B Y
śpiewają
w
UKAJALI

A
r
k
a
d
y
F
i
e
d
l
e
r

Najciekawsze i najpotworniejsze było to, że owady, pomimo zadania sobie śmiertelnych ran, nie ustawały w walce. Nienawisć, która rzuciła je ku sobie, trwała dalej w rozdartych ciałach. Miarowym, niestrudzonym ruchem swych szczęk gryzła modliszka wnętrzości dynastesa i połykała je, ażeby następnie wydzielić je z otwartej rany na odwłoku, skąd spływały po rogu chrząszcza. Tymczasem dynastes czynił daremne wysiłki pochwylenia jej tułowia zuchwami: nie udawało się i zadowolił się musiał nogami, które obgryzał.

Wyżeranie sobie ciała trwało niezmiennie przez kilka godzin, aż do nocy. Następnego dnia z walczących owadów nie zostało żadnego śladu z wyjątkiem jednej pokrywy dynastesa: reszta posłużyła innym owadom na żer.

KWIATY, KTÓRE PORUSZYŁY ANGLIKÓW

Gdy Rabindranath Tagore miał 12 lat, zadano mu kiedyś w szkole pytanie, co Anglicy zdziałali w ostatnich stu latach. Mały hindus odpowiedział, że Anglicy zdobyli Indie, odkryli się pary a potem pokochali orchidee.

Fajka w zaciśniętych ustach, ubranie w kratki, oschłość, malomównowość i niegrzeczność, to — zdaje mi się — fałszywe i wielce przesadzone właściwości, w jakie ubierano dotychczas Anglików. Zapomniano, że Anglicy też umieją się śmiać serdecznie. Za mało sobie uświadomiono, że Anglicy są zawsze dziwnie młodzi, nawet wtedy, gdy im siwieją włosy; że umieją kochać i pić i nie tylko zdobywać obce kraje i rządzić nimi, lecz także popełniać wielkie szaleństwa. Na zachodnich rubieżach Europy mieszka naród bardzo dziwny, mało jeszcze znany i bardzo egzotyczny: to Anglicy.

Szaleństwo Anglików ma swoje cechy: gdy Polak szaleje, bogaci się Monte Carlo lub właściciele firmy Veuve Cliquot; gdy Anglik szaleje, bogaci się w pierwszym rzędzie Anglia, potem ludzkość, rosną okręty, powstają atlasy i — idą ekspedycje w kraje podzwrotnikowe na zdobycie jednej rośliny.

Szaleństwem, kultem, sportem, psychozą czy wyładowaniem uczuć — niewiadomo jak nazwać ową miłość Anglików od orchidei. Istnieje ona od przeszło stu lat, w połowie 19. wieku rozgorzała najgorętszym płomieniem, który do dziś bli niewygasły. Ktokolwiek będzie badał życie człowieka w Anglii ostatnich stu pięćdziesięciu lat, nie pominie tego dziwnego kompleksu. Po zdobyciu Indyj i zgnieceniu Napoleona najtrzeź-

wiejszy naród poddał się urokowi tajemniczych Cattleyi, Odonoglossum i Oncidium.

Czy słusznie? Czy nie ma w tym jakiejś idée fixe? — Nie ma. Orchidee zajmują w królestwie roślin wyjątkową pozycję. Nie dość, że są to najpiękniejsze kwiaty, ubrane w fantastyczne kolory o szerokiej skali tonów od najmocniejszych i najśmielszych do najszybszych; nie dość, że wydzielały tysiące zapachów od fiołków i tuberoz począwszy aż do oparów gnijącego mięsa; że często posiadają groteskowe kształty, jak gdyby wyjęte z Apokalipsy; nie dość, że dotyk mięsistych kwiatów, pozostawia osobliwe, zmysłowe wrażenie na palcach i że rozwarłe kielichy przypominają spragnione pocałunku usta (i nie tylko przypominają, lecz są ustami, wabiącymi kolibry i motyle) — orchidee mają jeszcze w sobie jakiś nieuchwytny czar, który możnaby nazwać roślinnym sex appeal. Róża jest pięknym kwiatem, ale człowiek włożył w nią wiele symboliki, nie więcej. Natomiast do orchidei człowiek podchodzi jak do istoty żywej i aktywnej; zbliżenie jest przeżyciem lub przygodą, która niewiadomo jakie wyryje ślady i gdzie się skończy.

Od czasu, gdy zżyłem się w puszczy peruwiańskiej z orchideami, zacząłem rozumieć coś niecoś z psychiki Anglika.

Stosunkowo późno poznano biologię orchidei. Każdy ich kwiat wytwarza niezmiernie wiele bardzo drobnych nasion, których liczba niekiedy dochodzi do dwustu tysięcy. Lecz gdy z tych nasion chciano wyhodować roślinę, natrafiono na nieprzewyżnione trudności: nasiona po wykiełkowaniu ginęły. Dopiero żmudne badania wykryły przyczynę niepowodzenia, Mianowicie, orchidee żyją w symbiozie z pewnego rodzaju drobnymi grzybkami, służącymi im w pierwszych dniach żywota jako pokarm. Bez tych grzybowych „mamek” nie mogą sobie dać rady. Gdy to odkryto i do nasion dodano właściwe pożywki, orchidee okazały się nadzwyczaj wdzięcznymi obiektami hodowlanymi i od tej chwili zaczyna się ich właściwy kult.

Na początku 19. stulecia znano tylko około stu gatunków; dziś odróżniamy ich przeszło piętnaście tysięcy. Liczba ta z każdym dniem rośnie, gdyż prócz wielu zdumiewających właściwości posiadają orchidee i tę najbardziej zmienną, że można krzyżować ze sobą różne gatunki, sztucznie je zapładniając i tworzyć w ten sposób niezliczoną ilość zupełnie nowych odmian.

Prawie wszystkie gatunki, żyjące dziko w przyrodzie, są znane nauce. Lecz zanim do tego doszło, ile wysiłków dokonano, ile fortun poświęcono, ilu zbieraczy zginęło wśród skał And czy Himalajów? Sławne były licytacje orchidei światowej firmy Protheroe and Moriss w Cheapside. Przybywali na nie liczni dukołowie, early i lordowie, bywali nawet członkowie rodziny panującej: słowem, zbierał się kwiat society angielskiej, ażeby podziwiać księżąt wśród kwiatów. Wtedy ludzie, przed którymi drżał cały świat, drżeli ze wzruszenia na widok nowego gatunku orchidei, odkrytej gdzieś w lasach nad Orinoko. I wtedy to za jeden nowy okaz płacono nieraz owe krezusowe sumy, które do dziś tłuką się jako legenda w opowiadaniach ludzi.

Ważniejsze gatunki orchidei mają swoją historię pisana, historię często niezwykłą, romantyczną i awanturniczą. Cattleya labiata, piękny różowy storczyk, bardzo rozpowszechniony wśród hodowców, został odkryty na początku 19-go stulecia w dziwny sposób. Zbieracz Swainson posyłał z okolicy Rio de Janeiro mech brazylijskie dla prof. botaniki Jackson Hookera w Glasgow. Pewnego razu zapakował je w jakieś zielsko, które ku zdumieniu profesora okazało się nowym, ciekawym gatunkiem orchidei, Cattleya labiata. Wyhodowano ją i rozmnożono w Anglii. Lecz, gdy później wielcy kupcy jak Sander i Protheroe posyłałi do Rio de Janeiro swych poszukiwaczy, ci wracali bez rezultatu: nie znaleźli miejsca pochodzenia tajemniczej rośliny, a Swainson przepadł gdzieś w Nowej Zelandii. I do dziś nie wiadomo, skąd pochodzi ten storczyk, którego miliony egzemplarzy ozdabiają wszystkie cierniarnie.

W roku 1862 firma Protheroe and Morris zelektryzowała cały świat hodowców sensacyjną zapowiedzią, że niebawem przedstawi nowy gatunek orchidei, najpiękniejszej, jaką kiedykolwiek znalezione. Ponieważ Protheroe i Morris uchodzili za wstrzemięzliwych dżentelmenów, taka entuzjastyczna zapowiedź wywarła wrażenie. Nawet lord Stanhope odroczył swoją podróż do Indyj. W dniu licytacji zebrano się najprzedniejsze grono Anglii, które w istocie przeżyło wielką chwilę na widok odsłoniętej orchidei o złotawo-żółtych prążkach na purpurowej war-dze. Przywiózł ją z Kolumbii botanik Aere.

Młody Sussex nie mógł opanować nerwów i licytację rozpoczął od pięciuset angielskich funtów. Jedynie Stanhope siedział pochmurny w kącie, coś w myślach ważąc, a potem nagle poprosił zebranych o odroczenie licytacji na godzinę i wyszedł. Gdy wrócił, spóźnił się o dziesięć minut: licytację przeprowadzono w jego nieobecności i właśnie Sussex, który nabył okaz, wystawił czek.

— Ile zapłacicie? — spytał go Stanhope.
 — Tysiąc dwieście! — odparł Sussex z triumfem.
 — O tysiąc sto dziewięćdziesiąt funtów za wiele! — stwierdził Stanhope lakonicznie, a potem wytłumaczył sprawę. Przed piętnastu laty otrzymał z Kolumbii list (który oto trzyma w ręku) od pewnego przyrodnika, w którym to liście ów donosił mu o odkryciu nowej orchidei z rodziny Cattleya. Opis zgadza się dokładnie z przedstawionym dziś okazem. Ponieważ entuzjastyczny opis wydawał mu się wtedy przesadzony, pomógł przyrodnika o nieprawdę i zlekceważył sobie jego wiadomość. Dziś okazuje się, że popełnił wówczas błąd i że piękną orchideę rzeczywiście odkryto i opisano piętnaście lat temu. Jest nieszcześliwy, że wyrządził taką krzywdę dzentelmenowi i prosi obecnych, ażeby byli świadkami, że przywraca w zupełności cześć badaczowi, który nazywa się Józef (tu Stanhope na chwilę zawałał się) Warszewicz i jest, zdaje się, polakiem.

A właśnie składało się, że Józef Warszewicz, odkrywca owej uroczej Cattleya Dowiana i wielu innych orchidei, ginął w tym czasie z wycieńczenia w którejś z dolin kordylierskich. Przez całe burzliwe a owocne życie był bardzo biedny.

Prrowadzi mnie indianin za szczerpu kampa ścieżką przez las do domu nad rzeką Ukajali. Niewiadomo, ile jeszcze drogi, a tu słońce coraz niżej świeci przez gąszcz drzew, lian i kłujących, olbrzymich bromelii. Nagle stają jak wryty, pomimo chmar komarów.

Spośród zapachów butwiejących liści, wanilii, cedru, kamfory i jakiegoś smrodliwego owadu - pluskwiaka uderza mnie nowa woń zupełnie odmienna, dziwnie zmysłowa, jak gdyby przenikająca poprzez nozdrza aż do kości pacierzowej. Trudno ją określić: jedynie odczuwa się, że to coś niezwykłego.

Indianin wskazuje do góry na drzewo i powiada:
 — Gorące kwiaty.

Kilka metrów nad ziemią, pomiędzy gałęziami drzewa, sterczy cała rodzina orchidei o wielkich, pomarańczowych kwiatach z liliowymi kreskami. Niby przyczajone, wspaniałe tygrysiątka, jakies bajkowe, niezmiernie stworzenia, aż dech zapiera, skąd się nagle tyle cudu i jaskrawości bierze w tym przygnębiającym, ponurym, wrogim lesie!

Nie mamy czasu. Idziemy dalej, a kampa przyrzeka, że zerwie później dla mnie cały snop tych „gorących kwiatów”.

STARZY, DOBRZY PRZYJACIELE

Przed pięciu laty odbyłem do Brazylii wyprawę przyrodniczą, podobną do obecnej i zbierałem tam między innymi dwadzieścia kilka żywych zwierząt. O tych sympatycznych stworach napisałem potem książkę p. t. „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele”, a ponieważ była to książka sercem pisana, dedykowałem ją — komużby innemu! — mej córeczce Basi.

Gdy mnie teraz tęsknota ponownie zapędziła do puszczy południowo-amerykańskiej, znów jak ongiś jest na około mnie pełno żywych zwierząt. Umieściłem je nad wysokim brzegiem rzeki Ukajali w Kumarii, skąd ich wrzask i harmider odbija się od lasu aż hen, na środek wielkiej rzeki. Musi to być wrzask nielada, rozlegający się gromko, zwłaszcza w godzinach po południowych, bo przepływający indianie czamowie, zaintrygowani, wychodzą na ląd, zdziwieni spozierają do każdej paszczki i każdego dzioba i potem, kiwając z uznaniem głowami, wsiadają do czółen. Szesćdziesiąt zwierzaków to już ogród zoologiczny całą gębą, o którym słuchy idą na pięćset kilometrów w górę i w dół rzeki.

Jeszcze w Iquitos kupiłem młodą kapiwarę, śmiesznego gryzonia do świni podobnego, który odbył razem ze mną długą podróż do puszczy kumaryjskiej. To tak jakby zawożenie sów do Aten w amerykańskiej odmianie. Kapiwarka lubi zielone banany, wolność i błoto. Pierwszego dnia uwiązałem ją na skomplikowane sznury: w nocy dziwnie łatwo się wyswobodziła i, chociaż mogła uciec, nie uciekła. Okazała mi wiele wersalskiego zaufania i dlatego starałem się odtąd uwzględnić jej roszczenia w miarę możności.

W krótkim czasie kapiwara zdemoralizowała się na dobre. Jestem wobec niej bezradny. Wszystkie sznury i więzy zesuwały się z tłustego cielska i wtedy triumfuje wolność ducha. Na trzy dni kapiwara znika w rozległych kumaryjskich moczarach (na których nieszcześnie polscy koloniści mieli budować swą przyszłość), i wraca tylko po to, by najeść się bananów. Cieszę się, że przynajmniej wraca.

gorzej, że najwyraźniej demoralizuje drugą, młodszą od siebie kapiwarę i jeszcze młodszego tapira. A ten tapirek to nasz ulubieniec. Za to, że mu wyleczyłem brzydkie rany, zadane przez psy, odnosi się do mnie jak do swej matki, którą ma ludzie zabili. Na tym tle panuje stała rywalizacja między mną a kapiwarką — uwodzicielką o serce tego słoniowatego

Są do nabycia podręczniki

„Rachunki”

M. Makowskiego

Pierwszy i drugi rok nauki na klasę wstępną i I-szą dla polskich szkół podstawowych w Łotwie
 WYDAWNICTWO ZWIĄZKU NAUCZYCIELI SZKÓŁ
 POLSKICH W RYDZIE

Cena Ls 1,— i Ls 1,20.

Zezwolone do użytku przez Ministerstwo Oświaty
 Skład główny: KEMPE, Ryga, ul. Skolas 30, oraz w księgarni G. BUTKIEWICZA przy ul. Kr. Barona 14.

bachora. Kapiwara nęci go puszcza i wolnym życiem na łonie natury, ja staram się go zdobyć ludzkim, dobrym słowem i duńskim, skondensowanym mlekiem. Tapir jest w rozterce. Idzie za kapiwarą w las, ale gdy ja, zaniepokojony ich długą nieobecnością, idę również w las i gwizdząc co sił, tapir odgwiżdżuje gdzieś z kniei, puszcza uwodzicielkę w trąbę i przychodzi do nogi, poczem razem wracamy do domu w najlepszej zgodzie.

Zauważyłem, że rano kapiwara ma większy na niego wpływ niż ja, natomiast wieczór należy niepodzielnie do mnie. Choćby nie wiem jak tapira wypędzać i wypraszać, wieczorem przychodzi pod stół, bierze udział (choć bierany) w rozmowie ludzi przy kolacji i żadna ludzka siła go stamtąd nie wypchnie.

Tapir jest samiczką, oczywiście dziewicą, wobec której dr. Żabiński, dyrektor ogrodu zoologicznego w Warszawie i ja odgrywamy rolę swatów. W drodze korespondencji między Polską a Peru ustaliliśmy, że dziewicę przywieź do Polski i że wydamy ją za mąż za tapira-samca, tęskniącego w zoo warszawskim. Z tej pary będą chyba ludzie.

Największymi psotnikami wśród ptaków są tukany. Mam ich kilka. Diabły, nie ptaki! Wszędzie włazą, wkładają swe trzy grosze, zanurzają w zupie swe groteskowe dzioby, tymi dziobami chwytają następnie człowieka za nos, skubią za włosy a odepchnięte, spadają na ramiona. Gdy skaczą z miejsca na miejsce a człowiek jest im w drodze, żądają gderliwie, ażeby im się usunął. W dziedzinie alimentacji nie znają żartów i wiecznie głodne, pożerają własne porcje i porcje wszystkich słabszych od siebie zwierząt. Co tu wiele gadać: terroryzują połowę mego zwierzyńca, nie wykluczając nawet białego jastrzębia, który młody i dlatego głupi, choć silniejszy, dał się przez nie zawojować.

Wielki respekt mają przed dziobami arar, bajecznie kolorowych matron, tronujących na najwyższych szczeblach (zarówno towarzystwa jak i żerdzi). A poza tym unikają jak ognia dwóch trompeterów. Są to dostojne, czarne ptaki o białych skrzydłach, należące do rodziny kurowatyh. Trompeterzy wydają ze siebie niesamowity głos, jak gdyby wychodzący głęboko z ziemi i odważą swoją trzymają w ryzach nawet natrętnie płemię kur i kogutów. Agresywnie wobec zwierząt, darzą ludzi najbardziej przyjaznym zaufaniem. Jeden z nich lubi, gdy ścisłkam mu głowę i palcami obrabiam okolice łubieźnie przykniętych oczu, drugi natomiast kocha się w pewnym dziesięcioletnim chłopczyku czamaskim. Na widok tego indianinka pędzi ku niemu, zatacza koło i z rozpostartymi skrzydłami kładzie mu się u stóp.

Wiele hałasu o nic wyczynia moich trzydzieści piwicz, maleńkich jak piastka dziecka, zielonych, bezczelnych papużek. W moim zwierzyńcu piwicze mają zawsze głos. Jestem przekonany, że gdy trzy piwicze umieścimy w poznańskiej palmarni, palmarnia będzie dudniła odgłosami puszczy. Trzydzieści piwicz, to wrzask piekielny do trzeciej potęgi, działający zlekka na nerwy dwu- i czworonożnych sąsiadów.

Najdzikszym z moich zwierząt była irara, w Peru nazwana manko, przywieziona mi z drugiej strony rzeki. Dzielną ten zwierz, należący do kurowatyh, w czasie swej krótkotrwałej niewoli bez wytchnienia gryzł. Tylko gryzł. Gryzł na miazgę szczeble klatki, zrobionej z drzewa cedrowego, gryzł żelazną blachę, gdy mu chcieliśmy pysk zatkać, rozgryzał kłody, którymi biliśmy go po głowie. Dwóch ludzi stale go pilnowało, waląc go i odpychając wszelkimi środkami, a ten niestrudzony zwierz, ogarnięty szałem, na przekór wszelkiej logice, walczył i walczył. Aż — rzecz nieprawdopodobna — zwyciężył: wywał się spod czterech rąk, uzbrojonych w maczugi i uciekł w las — dzielny, zawzięty bojownik wolności. Dał nam świetną naukę, że szaloną odwagą i wytrwałością można dopiąć celu nawet w najtrudniejszym położeniu.

(DCN)

KOLUMNA MŁODYCH

Rezekne ma głos

Temat: nasi na Święcie Sportu

Rezekne, we wrześniu.

Jedziemy do Liepai!.. Wyruszyliśmy już 20-go sierpnia od rana, ażeby mieć czas na wypoczynek na miejscu i być „w dobrej formie“ na zawodach. Na stacji zachowywaliśmy się bardzo grzecznie, a żeby nie gniewać nasze „zwierzchnictwo“, bo — kto wie? — może jeszcze nie zabierze tego lub owego w ogóle do Liepai?! Dopiero, kiedy pociąg minął już Rezekne II, a nikt nie został wyrzucony, wtedy dopiero każdy nabrał pewności, że jedzie. Można było więc już tak bardzo nie zważać na przyzwoite zachowanie się. Rozpoczęło się „rozdzieranie gardła“, czyli coś w rodzaju śpiewów. Nasza znana rekordzistka postawiła rekord i pod tym względem, chociaż, trzeba przyznać, miała bardzo silną konkurencję. Rozlegało się bez przerwy: „Umówiłem się z nią na 9-tą“, „Graj skrzypku“ i znowu „Umówiłem się..“ aż się dziwię, jak ludzie z rozpaczy nie powyskakiwali oknem. Byliśmy pewni, że w śpiewie (o ile go można nazwać w ogóle śpiewem) jesteśmy bezkonkurencyjni, niebawem jednak przekonaliśmy się, że tak nie jest, gdyż zaczęli z nami rywalizować dwaj pijacy i.. musieliśmy złożyć broń, uznając ich za zwycięzców. Wprawdzie nasza „solistka“ zdołała spowodować z ich strony „brawo!“, ale było to „brawo“ bardziej z grzeczności, niż z prawdziwego uznania (nawet pijany nie jest pozabawiony rycerskości względem kobiet).

Nareszcie Liepaja! Wyleźliśmy hucznie, tak, że ci, co nas spotykali, nie mieli najmniejszego kłopotu z odnalezieniem naszej gromadki. Wzięliśmy „łachy pod pachy“ i idziemy za przewodnikami. Już na samym progu Liepaja wprawiła nas w zachwyt (wszyscy byliśmy tu po raz pierwszy). Załowaliśmy nawet, że to tak blisko od stacji do Domu Polskiego. Ale wkrótce umożliwiono nam w dalszym ciągu zachwycać się miastem, gdyż po kilku minutach udaliśmy się w dalszą drogę do domu turystów. Z początku słychać było tylko: „ach!“ i „ach!“, szybko jednak walizy zaczęły nam nie-miłosiernie ciążyć i coraz częściej pytano: „Czy to jeszcze daleko? Kiedyż nareszcie będziemy na miejscu?“ Ponieważ jednak wszystko ma swój koniec, więc i nasza wędrówka skończyła się wdrapaniem na trzecią piętro domu turystów. Jeszcze parę chwil czekania w korytarzu i wreszcie każdy dostał łóżko w 4-osobowych pokojkach.

Nie zdążyliśmy jeszcze rozlokować się, kiedy z innych pokoi powybiegali zaciekawione sportsmenki z Daugawpilsu. „Ach, to Rezekne!“ — zawołało kilka z rozczarowaniem w głosie i majestatycznie zawróciło z powrotem. Przy kąpielni dopiero zawiązała się rozmowa, no, i musieliśmy ze strachem wysłuchać, jakie to siły sportowe przyjechały z Daugawpilsu. „U nas jedna biega 60 m. w ciągu 8,3 sek., a 100 m. — w ciągu 13,2“. „A 800 m..“ „A kula..“ — i tak bez końca. Same rekordy! Każda z nas upadała na duchu: wobec takich wyników nie zajmujemy przeciwie żadnego miejsca!.. Ale nadrabiamy miną i uśmiechamy się z niedowierzaniem. A uprzęgne towarzyski kąpielni informują nas dalej, że: „Za rywali uważają tylko „Redutę“, a Rezekne w ogóle w rachubę nie biorą“. To podnieciło naszą ambicję — postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań, żeby pokazać, że z nami przynajmniej trzeba się liczyć — że trzeba nieładą wysiłku, aby nas zwyciężyć. Wobec tego postanowienia wszystkie projekty pójścia jeszcze na spacer odpadły, gdyż każda śpieszyła do łóżka, aby dobrze wycząć i jutro mieć pokazać, że Rezekne też jest coś warte. Nasze biegaczki zawzięcie masowały sobie nogi, a jedna, choć ze stłuczonym kolanem, powtarzała głośno: „Muszę, muszę jutro trafić do finału! Choć trupem padnę na finiszu, muszę przybiec co najmniej druga!“ I długo w nocy jeszcze wzdychała, wciąż powtarzając nawet przez sen: „Muszę, muszę!“..

Sobota. Pierwszy dzień zawodów!.. Już od 6-tej rano słychać kroki na korytarzu choć począ-

tek dopiero o 3-ej po południu. W naszym pokoju też ruch. Zbudziły mnie, żeby.. dowiedzieć się, która godzina, chociaż w same okno spogląda z wieży kościelnej zegar. Bodaj Was!.. Ale trudno — kiedy już obudzili, trzeba wstawać, bo i tak sen uciekł za sto mil na myśl o zawodach. Pobieglyśmy pod prysznic i przez pół godziny lałyśmy sobie zimną wodę na głowy. Potem — śniadanie. Ale jakie?.. Przed nim musieliśmy wysłuchać szeregu wskazówek, co należy jeść a czego nie, ile etc. Naprawdę nie ma życia sportowcom! O 10-ej skiem morze, zapomnieliśmy o sporcie, boisku, siatkówkę i rzuty. Ale kiedyśmy ujrzały tuż za boiskiem morze, zapomnieliśmy o sporcie, boisku, siatkówce, o całym świecie — i pędem pobiegłyśmy nad brzeg. Nie pomogły krzyki i narzekania naszej trenerki, żeby się nie kąpać, wracać na boisko, — po chwili wszystkie byłyśmy w morzu. Upajaliśmy się wodą, słońcem i piaskiem. Co nas obchodzi sport, kiedy takie cudne morze wabi i imponuje swym obszarem, a zielono — niebieskie fale — noszą z sobą w dal cały smutek, zżądzenie i zdenerwowanie!.. Z nadejściem jednak 2-giej godziny wszystkie byłyśmy na boisku. Już się roilo od sportowców. Ubrałyśmy się i o 3-ej „tałyśmy gotowe do defilady. Wreszcie rozległy się dźwięki marsza i ruszyła naprzód amarantowo — biała „Reduta“, czarno — biała „Harfa“ i cały w bieli ZPM.

Zacząły się zawody. Serca w nas drżały z wrażenia. Bieg 100 m dla pań!.. Stałyśmy blisko tamty, żeby widzieć, jak nasz „aniotek“, co tak zawzięcie powtarzał: „muszę!“, będzie usiłował dostać się do finału. Wreszcie zaczęłyśmy, ile się dało (przecie doskonały trening miałyśmy w pociągu!) i.. poskutkowało, bo „aniotek“ przybiegł do mety pierwszy i to w rekordowym czasie. Podobnie było z biegiem na 60 m. Byłyśmy wprost wniebowzięte — o mało nie udusiłyśmy go z radości. Teraz przekonaliśmy się, jakie to „siły rekordowe“ przyjechały z Daugawpilsu i od razu nabrałyśmy otuchy: a więc nie jest u nich tak dobrze, a u nas tak źle, jak można było przypuszczać! Zauważyłyśmy, że już i Daugawpils inaczej na nas patrzy, a przed każdą nową konkurencją zaczął interesować się nami i wypyttywać, kto z nas bierze udział i jakie ma wyniki? A kiedy następnego dnia miałyśmy I miejsce w biegu na 800 m. i I miejsce w chodzie na 3 km., nie licząc szeregu pierwszych i drugich miejsc zajętych przez panów, wtedy wszystkim rozwarły się szeroko oczy. — „Rezekne? i ktoby pomyślał!“ — słychać było zewsząd. A więc dopieiliśmy swego celu i już nas nie lekceważą, uważają za godnych rywali!

Skończyły się zawody. Posłaliśmy prędko do domu turystów, żeby móc się umyć, ubrać i przystroić na bal, urządzone dla sportowców. Musiałyśmy zżegnać miły i wygodny dom turystów. Z hałasem wyruszyli wszyscy na bal — pozostało nas zaledwie kilka osób poważniej myślących, co to wołały się przespać, niż balować. Ale co to było za spanie!.. na twardych stołach! — ale i to byłoby nie tak męczące, gdyby panowie z Krasławia nie uważali za swój obowiązek zabawiania nas nawet podczas snu. A tymczasem powstał tak nieśluchany hałas, że myślałyśmy: conajmniej hiszpańska rewolucja do nas się przeniósła. A to tylko nasi sportowcy powrócili z balu. Narazie nie chciałam wierzyć, że to nasi, a raczej gotowałam się przyrzeczyć, że to hiszpanie, gdyż nie mogłam zrozumieć „po jakiemu“ gadają? Prawda, od czasu do czasu dały się słyszeć polskie wyrazy, ale tak pomieszane z obcymi, że trudno było nawet domyślić się o co chodzi. Jakiś jegomość przewraca wszystko, co się da, powtarzając: „Kur ir mans kofers?“ Robię wielkie oczy, bo ani rusz nie mogę zrozumieć ostatniego wyrazu. Zdobywałam się więc na odwagę i prosiłam o polsku, żeby nie wywrać moich rzeczy. „Gdzie jest mój kofer?“ — słyszę w odpowiedzi. Więc niby gada po polsku, chociaż w dalszym ciągu nie wiem, czego szuka. Wreszcie przypomniałam sobie,

że po niemiecku, zdaje się, „der Kofers“ oznacza walizę. Szkoda, że nas przed Świętem Sportu nie uprzedzono, że znajomość języków obcych jest konieczna w celu porozumienia się ze sportowcami polskimi. Wprawdzie wiedziałam, że bez łotewskiego i rosyjskiego nie można się obejść, ale żeby nam potrzebowała jeszcze znać niemiecki i angielski — tego nie przypuszczałam. Ale teraz będę mądrzejsza: zaczynam brać lekcje niemieckiego i angielskiego, a przed wyjazdem na następne święto kupuję słowniki konwersacyjne, z którymi nie rozstanę się nawet na balu, żeby móc jako tako porozumieć się z naszą Polonią stołeczną.

Po długich szukaniach znalazł wreszcie ów pan swój „kofers“ u kogoś pod głową, skąd wyciągnął go z wielkim oburzeniem, wyrzucając przy tym szereg, niestety, niezrozumiałych dla nas, wyrazów. Wszyscy poszli na stację, tylko my biedne zostałyśmy, oczekując na swego prezesa. W międzyczasie kol.Pynkan pokazał nam zdobyte nagrody: dla najlepszego sportowca polskiego na Łotwie i najlepszego sportowca ZPM. Nagrodę najlepszej sportsmenki ZPM zdobyło również Rezekne (p. Rudziona), ale „odciągnięto“ jej 2 punkty karne i nagroda przeszła do Daugawpilsu. Wracam więc do domu z niebyle jakimi sukcesami!..

Wkrótce zjawiał się pan Prezes i wszyscy wyruszyliśmy na dworzec, posyłając ostatnie pozdrowienia Liepai. Za chwilę pociąg niósł nas z powrotem do Rezekne.. Jeden z „aniotków“

Nie wszystko osiągnięto

Rezekne, we wrześniu.

Byliśmy naprawdę podnieceni i cokolwiek niepokojni. Bo i jakże? Mieliliśmy jechać do miasta, którego nikt z nas nie znał, mieliśmy wystąpić przed obcą, nieznaną publicznością.

Pracowaliśmy więc wedle sił i możliwości, ażeby Rodakom w Liepai wystydu nie zrobić.

I cieszyliśmy się myślą, jak to oni nas tam oczekują, pragną nas poznać. Trafiła się niekiedy komuś z nas spędzić czas jakiś za granicą, biorąc udział w złotych wszelkiego rodzaju. Zostały po tym miłe wspomnienia, a nieraz nawet saviarywala się korespondencja serdeczna, trwająca długo, trwająca do dnia dzisiejszego. Serce mieliśmy gotowe, ażeby poznać i pokochać nieznanych dotąd kolegów, nieznane koleżanki.

Jechaliśmy więc, mimo wszystko, pełni otuchy. W wagonie nasze Rezekne tylko. Śpiewaliśmy. Śpiew nasz podobał się jakoś ludziom, bo co chwila ktoś przychodził do nas, mówiąc, że chce posłuchać jak i co śpiewamy.

Jak się odbyło to IV-te Święto Sportu naszego pisano już tyle, że dodawać więcej nie ma potrzeby. Trzeba tylko stwierdzić, że zawiadliśmy się. Nikt serca nam nie okazał, ani nawet większego zainteresowania. Zawieruszyła się gdzieś, utonąła chyba w morzu, nasza gościnność, z której jesteśmy znani.

Byliśmy niby marny, wędrowny cyrk, popisujący się przed niechętnymi widzami, którzy przyszlizli zawczasu już źle usposobieni, w sobie zamknięci.

Musimy więc z żalem przyznać, że nie wszystkie cele święta zostały osiągnięte. Zamiast zblżenia młodzieży polskiej, rozrzuconej po całym kraju, obserwowaliśmy rozgorzniczenie, uczucie, że jesteśmy tak bardzo odosobnieni. Jakaś zapora stoi między nami. Jesteśmy nieczytliwi dla Rodaków, mieszkających w innych okolicach tego samego kraju, zamykamy się w ciasnym kółku jednej, poszczególniej organizacji.

Nie chodzi o to, żeśmy byli obojętnie przyjąłi. Mniejsza z tym! Chodzi o to, że się mimowoli nasuwa refleksja: jak nisko stoimy pod względem społeczeństwa, kiedy nie potrafimy się wznieść ponad ciasne interesy tych czy innych związków lub organizacji.

I nie ma w nas nawet tej rycerskości, która każe pokonanemu współzawodnikowi podać dłoń pomocną, a triumfującemu zwycięzcy dłoń tę uściskać.

St. Szewelówna.

Kronika

Obiadujemy

POSIEDZENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO. Ostatnio Zarząd Główny ZPM odbył swe kolejne posiedzenie, które w dużej mierze zostało poświęcone omówieniu spraw, związanych z przeprowadzoną przez Zarząd Główny organizacją Święta Sportu Polskiego w Lotwie. Zarząd zajął stanowisko, że na przyszłym polskim święcie sportowym obronę barw ZPM powierzy się jednolitej reprezentacji ZPM, powołanej z najlepszych sił sportowych Związku niezależnie od przydziału do tej czy innej filii.

Na członków przyjęto przeszło 30 osób zgłoszonych przez poszczególne filie.

POSIEDZENIE RADY ZPM odbędzie się dnia 3. października. Na posiedzenie przybędą prezesi wszystkich filii ZPM oraz członkowie Rady obranej na Walnym Zjeździe delegatów wraz z Zarządem Głównym.

Młodzież z Polski w Łotwie

Wycieczka maturalnej klasy gimnazjum jezuitów w Wilnie przybyła w składzie 27 osób w sobotę 11. b. m. do Daugawpilsu. Na czele wycieczki stał ks. K. Kucharski.

Na dworcu wycieczkę powitali przedstawiciele II-go Państwowego Gimnazjum, Towarzystwa Dobroczynności, Zarządu Głównego i filii Daugawpilskiej ZPM oraz Konsulatu R. P. w Daugawpilsie.

Niemal bezpośrednio z dworca wycieczka udała się do II-go państwowego gimnazjum, gdzie została przywitana przez dyrektora gimnazjum ks. J. Płonisa, który wygłosił przemówienie w języku łotewskim. Następnie w imieniu nauczycielstwa kompletu polskiego przemówił p. M. Wierzbicki. W imieniu uczącej się polskiej młodzieży przybyłych przywitała p. Wojewódka. Na miłe przywitania i przemowy odpowiadał ks. K. Kucharski.

Goście zwiedzili gmach gimnazjum.

Po południu wycieczka oraz uczniowie ostatniej klasy polskiego kompletu przy II-im gimnazjum byli podejmowani przez Konsulostwo Buynowskich w salonach Konsulatu herbatką.

Wieczorem goście wzięli żywy i ochoczy udział w zabawie tanecznej, zorganizowanej w Domu Polskim przez Stowarzyszenie „Harfa”. Do rana w miłej atmosferze młodzież bawiła się i tańczyła.

Nazajutrz, w niedzielę 12. b. m., wycieczka złożyła kwiaty na cmentarzu polskich żołnierzy, poległych w walkach o wolność Łotwy.

Poza tym goście zwiedzili fortece.

Pociągami południowym wycieczka udała się do Rygi, gdzie bawiła 2 dni po czym udała się do Tallinna.

Na froncie sportowym

WYCIECZKA DO KRASŁAWIA

W sobotę i niedzielę 11. i 12. b. m. filia Daugawpilska ZPM urządziła wycieczkę do Krasławia. W wycieczce wzięło udział około 30 osób pod kierownictwem p. Bolesława Leonowicza. Kilka osób wycieczkę odbyło rowerem.

Wobec nastania zdecydowanie jesiennej pogody, okresu silnych wiatrów i spadających liści — należy przypuszczać, że była to ostatnia impreza tego rodzaju na zamknięcie sezonu letniego.

NA FRONCIE FUTBOLOWYM. Ostatnio drużyna „Harfy” rozegrała z powodzeniem 2 mecze piłki nożnej w serii rozgrywek o puchar Daugawpilsu.

Mecz „Harfa” — Br. Trumpeldor zakończył

Miejska Polska Szkoła Doksztalająca w Rydze

przy ul. Tornia 4. Tel. 23273
w lokalu Polskiego Gimnazjum Państwowego
Przyjmuje uczni do klas wydziału handlowego

W zakres programu wchodzi praktyczne nauki: buchalteria, korespondencja handlowa, pisanie na maszynie i t. p. Szczególną uwagę zwraca się na wiedzę języków.

ZAJĘCIA ODBYWAJĄ SIĘ WIECZORAMI W DNI POWSZEDNIE Z WYJĄTKIEM SOBÓT OD GODZ. 6. DO GODZ. 10. WIECZÓR — BEZPŁATNIE. NIEZAMOŻNI UCZNIOWIE OTRZYMUJĄ ZAPOMOGI.

Zapis uczni oraz szczegółowe informacje — w kancelarii szkoły (przy ul. Tornia 4) od 1. września od godz. 6. do godz. 8. wieczór codziennie.

się świetnym zwycięstwem polskiej drużyny w stosunku 9:3 (pierwsza połowa gry — 4:1). W drugiej połowie drużyna żydowska, mimo zejścia z placu z powodu kontuzji jednego ze swych graczy, zdobyła się na ambitniejszą grę i uzyskała jeszcze 2 bramki.

W sobotę 11. b. m. na boisku LSB — Harfa odniosła zwycięstwo nad drugą drużyną żydowską, mianowicie nad DISK’iem. Gra ma przebieg żywy i „Harfa” kończy pierwszą połowę zwycięstwem w stosunku 3:1. W drugiej połowie DISK wyrównuje w pewnym momencie rezultat na 3:3. To dopinguje „Harfę”, która przechodzi skutecznie do napadu, lokując kolejno w bramce DISK’u 4 piłki. Mecz kończy się zasłużonym zwycięstwem „Harfy” w stosunku 7:3.

Drużyna piłki nożnej filii Daugawpilskiej ZPM — Lechia — ostatnio rozegrała mecz w rozgrywkach o mistrzostwo Latgalii z Trumpeldor’em. Gra zakończyła się bezapelacyjnym zwycięstwem drużyny żydowskiej w stosunku 2:5. Rezultat nie odpowiada przebiegowi gry, gdyż były okresy przedłużające się w kwadrans, kiedy polska drużyna w zupełnej przewadze trzymała przeciwnika całkowicie na linii obrony. Jednak szczęśliwe wypadki zapewniły Trumpeldor’owi zwycięstwo.

Należy dodać, że w pierwszej połowie polska drużyna miała przeciwko sobie wiatr i słońce, co, oczywiście dopomogło niewymęczonej jeszcze drużynie żydowskiej. Naogół gra pozostawiała dużo do życzenia pod względem wzajemnego stosunku graczy obu drużyn. Za brutalne zachowanie się graczy częściowo odpowiedzialny jest sędzia, który przez szczególny zbieg okoliczności notował „wyczyny” graczy z polskiej drużyny, nie zauważał jednak niedozwolonych chwytów, stosowanych przez stronę przeciwną.

TURNIJ MŁODSZYCH PIŁKARZY. W rozgrywkach juniorów drużyna Harfy przegrała kolejowym ajsargom w stosunku 2:1. Prawdziwą porażkę, po uprzednich ładnych sukcesach, odnieśli juniorzy filii Daugawpilskiej ZPM w spotkaniu z DISK’iem, przegrywając mecz w stosunku 9:0. Z drużyną 18. pułku ajsargów Zetpempowcy również przegrali w stosunku 4:0. Przegraną nie usprawiedliwia fakt, że pierwszą połowę drużyna polska grała w zmniejszonym liczebnie składzie (9 graczy).

PROPOZYCJA PIŁKARZY LIEPAJSKICH. Drużyna futbolowa filii Liepajskiej ZPM wysunęła propozycję rozegrania meczu towarzyskiego z „Harfą” w Daugawpilsie. Zmierzenie sił młodej lecz ambitnej drużyny liepajskiej z wypróbowanymi piłkarzami „Harfy” byłoby ciekawym zdarzeniem w naszym świecie sportowym.

Jedno pokojowe mieszkanie z kuchnią i ogrodem zaraz do wynajęcia. Bliższe informacje co niedzielę przy ul. Rombales Nr. 22 (za Matysa kapiem).

W LEKKOATLETYCZNYCH MISTRZOSTWACH KOBIECYCH ŁOTWY, które się odbyły ub. soboty i niedzieli w Rydze, znana zawodniczka polskiego klubu Reduta Wagułowiczówna zdobyła pierwsze miejsce w biegu na 60 m. w czasie 8,2, drugie w biegu na 100 m. (13,6) oraz drugie miejsce w skoku wzwyż. W rzucie oszczepem trzecie miejsce zdobyła Dukalska (23,67) z Reduty.

M. Reiznekówna

Nauczycielka Polskiego Gimnazjum w Rydze

LEKCJE GRY NA FORTEPIANIE

Wykłady w języku polskim

Ul. Merkiela 6. m. 12. Tel. 28872

Administracja

„NASZEGO ŻYCIA”

prosi wszystkich nadsyłających znaczki pocztowe z tytułu należności za prenumeratę o nadsyłanie potrzebnej kwoty w znaczkach 10-cio santymowych.

Jasmujska filia ZPM

urządza w niedzielę 26. b. m.

wieczór programowy

Odpowiedzi grafologa

„Antek”. Zbyt ufać mu nie radzę, bo na pierwszy rzut oka wydaje się człowiekiem aspi-gującym na większe zaufanie niż jest w istocie. Znam takich ludzi. Robią bardzo dużo złego i jakoś im się udaje zle uczynki ukryć przed oczyma świata. Przy bliższym zetknięciu się okazuje brak serca i duchowego piękna. Jest to pedant, nerwowiec, a w gniewie pali się, jak słoma. Gdy zakochany, to się przymyka i, zdaje się, do sercu tuli, ale po tym — lepiej nie mówić. Ma talent, zdolności, umie w życiu się orientować i dać sobie radę, ale mało dba o to, by innym zrobić coś dobrego. Z charakterem „Marychny” trudno ma się pogodzić. Inne usposobienie ma. Warta jest ona lepszego losu. Jako grafolog nic nie życzę nikomu złego, ale misją moją jest — widzieć ludzi szczęśliwymi.

„MARYCHNA” ma żywe usposobienie, lubi cieszyć się życiem, ma duszę słoneczną. Prognie widzieć ludzi szczęśliwymi. Charakter ma bardzo uparty i stanowczy. Mierzy siły na zamiary i patrzy w świat przez różowe okulary. Oszczędzać i lubi (być może nie jest to wada w życiu). Żyje, Kochając całym sercem, interesując się szerokimi horyzontami. Znadto wrażliwa nie jest i nie przejmuje się zbyt bolesnymi zagadnieniami życia. Bierze wszystko za dobrą monetę losu. Pisanie grafologowi można, naturalnie, jak najwięcej. Śmiać się nie będzie, owszem, bardzo lubi pocieszać strapionych, ale grafologowi trzeba wierzyć, bo nie zdradzi tajemnicy. Radzę patrzeć w życie, więcej się interesować nauką, zdolności swoje rozwijać. Do czego ma największe zdolności, trudno określić. W piśmie nie widać głębszych stron intelektualnych i duchowych.

Miejska Polska Szkoła Podstawowa Wieczorowa w Rydze

przy ul. Tornia 4. Tel. 23273

w lokalu Polskiego Gimnazjum Państwowego

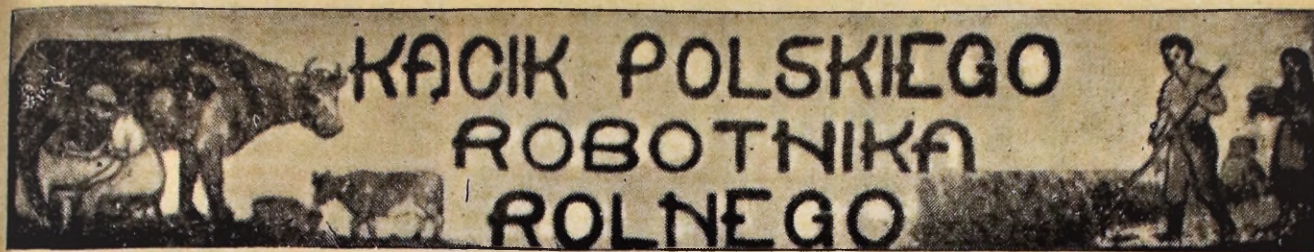
Przyjmuje uczni na podstawie świadectw lub egzaminów.

Ukończenie szkoły daje prawo na wstąpienie do gimnazjum.

ZAJĘCIA odbywają się wieczorami w dni powszednie z wyjątkiem sobót od godz. 6. do godz. 10. wiecz. **BEZPŁATNIE.**

Niezamożni uczniowie otrzymują zapomogi.

Zapis uczni oraz szczegółowe informacje — w kancelarii szkoły (przy ul. Tornia 4) od 1. września od godz. 6. do godz. 8. wieczór codziennie.



List otwarty

Konsula Rzeczypospolitej Polskiej w Rydze

w odpowiedzi na zażalenie polskiego robotnika rolnego KOZAKA



Konsul R. P. w Rydze Stefan Ryniewicz

List otwarty Konsula R. P. w Rydze p. Stefana Ryniewicza, który dzisiaj zamieszczamy, wyjaśnia niejedną sprawę, pozostającą dotychczas, jeśli chodzi o polskich robotników rolnych, bez odpowiedniego i autorytatywnego nasświetlenia. Ze swej strony Redakcja „Nasze Życie” bardzo dziękuje Panu Konsulowi, że w całokształcie spraw polskiego robotnika polskiego w Łotwie uważał za wskazane i potrzebne uwzględnić sprawę pisma polskiego, które dla tego robotnika jest i powinno być coraz bardziej konieczną strawą duchową. W przekonaniu, że tej strawy duchowej „Nasze Życie” będzie mogło robotnikowi polskiemu w Łotwie dostarczyć, chętnie od przyszłego numeru zamieszczać będziemy — zgodnie z życzeniem Pana Konsula — wykaz nazwisk tych robotników, którzy — w odpowiedzi na apel Pana Konsula — „Nasze Życie” zaprenumerują.

Redakcja.

istem z dnia 15. sierpnia b. r. zwrócił się do mnie jeden z polskich robotników rolnych z uzalenianiem się na ciężki los polskiego robotnika rolnego w Łotwie. Najbardziej narzeka on na ciężką, prawie bez przerwy trwającą, pracę od wczesnego ranka do wieczora, na złe wyżywienie oraz żał się, że gospodarze za nic mają robotnika, a jednak tak wiele od niego wymagają. Dlatego — kończy swój list w robotnik — koniecznym jest, aby na przyszły rok coś zrobić, by ulżyć doli polskiego robotnika rolnego w Łotwie. Prosi on poza tym, abym mu odpowiedział na jego list w „Naszem Życiu”.

Ponieważ robotnik ten poruszył w tym liście najczęściej spotykane skargi i bolączki, z jakimi robotnicy polscy zwracają się do Konsulatu, dlatego, w dzisiejszym liście otwartym, chcę mu od-

powiedzieć oraz wyjaśnić wszystkim tym, którzy w podobnej sytuacji się znajdują, jak przedstawia się kwestia opieki nad robotnikiem polskim, sprawowanej przez Konsulat R. P. w Rydze.

Przede wszystkim należy wziąć pod uwagę, że Konsulat nie zawiera umowy (kontraktu pracy) z poszczególnymi pracodawcami, lecz podpisuje ogólną umowę z Łotewską Izba Rolniczą, która jest jedyną instytucją, upoważnioną do sprowadzania zagranicznych robotników do prac rolnych w Łotwie. Zarówno Konsulat, jak też i Łotewska Izba Rolnicza mają jeden i ten sam cel — to jest obopólne zadowolenie robotnika i pracodawcy. Tylko przy takim postawieniu sprawy można mówić o zgodnej i trwałej współpracy, która daje dobre owoce. Takie zaś wypadki, kiedy pracodawca wykorzystuje robotnika lub też robotnik nie jest sumiennym i oddanym pracownikiem — psują tę współpracę i szkodzą nie tylko poszczególnym gospodarzom czy robotnikom, ale nam wszystkim. Urabia się bowiem nie potrzebnie fałszywa opinia o pracodawcy lub o robotniku.

W tej więc, jak już wyżej wspomniałem, umowie, Konsulat wraz z Ł. I. R. stara się jak najdokładniej ustalić wzajemne prawa i obowiązki zarówno pracodawcy jak i robotnika, aby nie było nieporozumień w okresie pracy. Ale człowiek do człowieka nie jest podobny: zarówno robotnik jak i pracodawca są różni. Każdy lub prawie każdy, w zależności od usposobienia i charakteru, inaczej wykonuje postanowienia kontraktu i tu zaczyna się pierwsze nieporozumienia. Robotnik twierdzi, że, według kontraktu, powinno być tak a tak, pracodawca zaś robi swoje i zdaje mu się, że też ma rację. Ponieważ w Łotwie przebywa obecnie około 40.000 robotników polskich, rozsianych po poszczególnych gospodarstwach, w których często pracuje po 1—2 robotników polskich, więc, rzecz zrozumiała, że w takiej liczbie ludzi muszą być rozmaici: dobrzy i źli: pracowici i leniwi, skąpi i życzliwi. Dlatego też przydział robotnika do pracodawcy przypomina mi nieco loterię: czasem się trafi do tak dobrego pracodawcy, że robotnik pozostaje u niego po lat kilka i przywiązuje się do niego, a czasem to już na drugi dzień ucieka i wraca zniechęcony do domu.

Jaka jest na to rada? Co należy czynić, aby było coraz lepiej?

Przede wszystkim Konsulat stara się wyciągnąć naukę z doświadczeń lat ubiegłych, wprowadzając pewne poprawki do kontraktu; następnie — dąży do zwiększenia kontroli warunków pracy i

bytu robotników. W tym celu w przysłym roku uruchomiony zostanie specjalny stały kontroler, który będzie ustawicznie odwiedzał robotników, badając na miejscu konflikty, łagodząc spory i interweniując u władz i urzędów tam, gdzie tego zajdzie potrzeba. W ten sposób robotnicy nie będą już się czuli tak opuszczeni, zaś pracodawcy będą wiedzieli, że, o ile postępować będą niesłusznie, to ściągną wizytę takiego kontrolera, który, w razie stwierdzenia nadużyć, będzie mógł spowodować przeniesienie robotnika do innego pracodawcy.

Ze względów zasadniczych nie mogę jeszcze dziś powiedzieć Wam, jakie poprawki i zmiany zamierza Konsulat użyć w nowej umowie o pracę na rok 1938. W każdym bądź razie wiedźcie, że Wasze dobro jest stałą troską Konsulatów R. P. w Łotwie.

Chcąc się na miejscu przekonać o warunkach pracy i bytu naszych robotników, odbywam, wraz z delegatami Łotewskiej Izby Rolniczej, podróże po całej niemal Łotwie i niejednym z Was spotkał się już ze mną w ciągu takich wizytacji. Z tego co widzę własnymi oczyma na miejscu, czerpię wnioski do dalszej poprawy Waszego bytu i coraz lepszego ułożenia Waszych stosunków z pracodawcami. Jednak i Wy musicie mi sami w tym dopomóc, a tej dobrej chęci u Was widzę, jak dotąd, bardzo mało. Czyż to na przykład nie dowód obojętności z Waszej strony, że na 40.000 robotników zaledwie niecały tysiąc czyta „Nasze Życie”? Nie mam innego sposobu i możliwości dotrzeć do każdego z Was, do każdej chaty wnieść dobre słowo, otuchę i radę, jak tylko przy pomocy tej gazetki, do której stanowczo za mało się garniecie.

Pokażcie więc i Wy ze swej strony, że chcecie mi pomóc w moich usiłowaniach, że coś sami robicie dla polepszenia Waszej doli, a nie tylko płakać i narzekać umiecie, kiedy Wam jest źle, ale kiedy chodzi o wspólny wysiłek, to żal Wam groźszy i czasu, jak to często słyszę.

Niech więc ten dzisiejszy list rzuci między Wami hasło do jak największego, najliczniejszego rozpowszechnienia między Wami „Naszego Życia”, niech u każdego robotnika czy robotnicy znajdzie się ta pożyteczna gazetka. A wówczas zobaczycie sami, że wiele przez to pomożecie sobie i mnie w opiece nad polskim robotnikiem rolnym w Łotwie. Wówczas też będziecie mieli prawo oczekiwać od tej gazety, aby coraj więcej miejsca poświęcała Waszym sprawom, Was przede wszystkim interesującym.

Po przeczytaniu tego listu, niech każ-

na Pol. / konsulatu w Rydze
było w Rydze 1937 r. 100
robotników, a 100 robotników (Rydzanie)

dy z Was, który stale dostaje gazetę, weźmie sobie za obowiązek dostarczyć przynajmniej jeszcze jednego nowego czytelnika dla „Naszego Życia“, a ci, którzy tylko przy okazji, u kolegów czy koleżanek, czytają tę gazetę, niech odzalurą dla swego własnego dobra 80 santymów na miesiąc i sami ją sobie sprowadzą.

Proszę równocześnie redakcję „Naszego Życia“, aby od przyszłego numeru wprowadziła specjalny rozdział, gdzie podawani będą imiennie ci robotnicy, którzy zgłosili się na nowych czytelników „Naszego Życia“.

Stefan Ryniewicz
Konsul R. P. w Rydze

Nasze porady i odpowiedzi

Jan Rusak — Amla, Estonia. W Rydze istnieje księgarnia polska G. Butkiewicz. Adres: Riga, Kr. Barona iela 14, Latwija.

Fr. Skowron — Ergeme, Rocznik „Naszego Życia“ za 1936 r. (oprawiony) kosztuje Ls 5,50 — wraz z przesyłką. Poszczególne numery z ub. roku także są do nabycia. Cena — 0,20 sant. za egzemplarz. Sprowadzić może Pan to za pośrednictwem poczty. Wysokość kosztów przesyłki nieoprawionych numerów „Naszego Życia“ zależy od tego, ile Pan numerów zechce sprowadzić. Prenumeratę, wliczając ostatnio nadesłane Ls 1,60 znaczkami, ma Pan opłacić do 1. października b. roku.

Radecki W. — Gaujiena. Należy się Panu taka suma, jaka jest uwidoczniiona w kontrakcie. Takiej też należy się domagać w najbliższym Biurze Pracy, o ile gospodarz nie zechce wypłacić. By otrzymać stale „Nasze Życie“ do 24. października, powinien Pan zapłacić Ls 1,60, t. j. za dwa miesiące. Przypominamy, że bieżący miesiąc ma Pan nieopłacony i prosimy o szybkie uregulowanie zaległości.

Kwacz Walerian — Roñkalns. Wyjeżdżając do Polski, książeczkę wojskową należy wymeldować w Konsulacie koniecznie. Ze nie może Pan otrzymać „Nasze Życie“ w sobotę, nie nasza w tym wiina. Wysyłamy w piątek, więc w sobotę po poł. gazety powinny być już w każdym urzędzie pocztowym. W sprawie tej niech się Pan zwróci do urzędu pocztowego, przez który Pan otrzymuje „Nasze Życie“.

Krukowicz W. — Biryń. Jeśli Pan chce wrócić z Polski i pracować u nowego gospodarza, powinien Pan zawrzeć z nim prowizoryczną umowę w Biurze Pracy. Na tej podstawie uzyska Pan wizę powrotną. Prócz tego jeśli ma Pan paszport wystawiony przez Starostwo na jednorazowy wyjazd do Łotwy, powinien Pan z ową prowizoryczną umową zwrócić się do Konsulatu, gdzie uzyska pismo, na mocy którego Starostwo, które wystawiło paszport, przedłuży go Panu na dalszy wyjazd zagranicę.

Zawarcie więc prowizorycznej (tymczasowej) umowy (kontraktu) jest ze względu na ułatwienie powrotu konieczne.

Wapno, wymienione w art. z nr. 141, jest wapnem, o którym Pan wspomina. Innego wogóle nie ma.

J. Iwajczyk — Beja. By sprowadzić

z Polski do Łotwy znajomą lub krewną, należy się zwrócić do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Rydze i na specjalnym blankiecie złożyć podanie. Jeśli załatwienie zostanie przychylnie, z blankietem o wym zwrócić się do Konsulatu, który z kolei przekaże całą sprawę Starostwu w Polsce, gdzie wskazana osoba uzyskuje paszport zagraniczny na wyjazd. W celu przyspieszenia uzyskania obywatelstwa należy złożyć podanie do Min. Spraw Wewnętrznych przez kancelarię naczelnika powiatu (aprinkia prieksznieks). Jednakże uważamy, że starania takie będą bezowocne. Słownik polsko-łotewski kosztuje Ls 1,20 łącznie z przesyłką. Kwotę powyższą można wysłać przekazem bądź też znaczkami pocztowymi po 10 sant. w liście.

Rymowicz Stanisław — Jelgawa. Dziękujemy Panu za informacje, które odpowiednio wykorzystamy. Prenumeratę opłacił Pan do 1. listopada b. r.

K. Raginiana w Medni. — Za przysyłane nam artykuły będziemy bardzo wdzięczni. Zdecydować czy artykuł będzie wydrukowany czy też nie, będziemy mogli tylko po jego przeczytaniu.

Obrazki wsi polskiej

Wspólnym wysiłkiem

Za zakretem piaszczystej drogi ukazała się wieś. Ciągnęła się wzdłuż brzoź i wierzb przeszło dwa kilometry, aż ginęła gdzieś pod starym, sosnowym lasem. Na całej swej przestrzeni znaczyła się białymi parkanami, białą przydrożnych kamieni, zielenią drzew lub pól. Czasem wysmukły krzyż wyciągał swe drewniane ramiona ku górze, lub strzelista toполя szemrała tęskną pieśń zielonymi liśćmi. Gdzieś zza pola ziemniaków widać było dużą, jasną chatę, krytą słomą. Okna duże, czyste, przybrane białymi firaneczkami i doniczkami z kwitnącymi kwiatami — patrzyła pogodnie i wesoło na pola i zabudowania. To ostatnie znajdują się opodal. Jeden, duży budynek również pokryty słomą, mieści niewielką oborę wraz ze stajnią na jednego, lub dwa konie; kurnik, chlew, małą drwalnię na zapas drzewa na zimę i zazwyczaj po samym środku — stodołę.

Dalej pola, które powoli pustoszeją. Gdzieś tam stoi jeszcze owies w snopkach, dojrzała gryka czeka na zżęcie, zie-

lenieja ziemniaki. A robota aż wre i kipi. Jedni gospodarze zwożą furami zboże do stodół, drudzy podają ją za plugiem — robią podorywkę pod żółty łubin, — zmocnił ziemię po tegorocznym plonie, inni mlóczą zboże — pomagają im kobiety i wyrostki; jeszcze inni pełne worki żyta wiozą przez wieś.

Niedaleko drogi stoi drewniany powrót o dużych skrzydłach i dudniących kamieniach. To wiatrak. I on ma teraz dużo roboty. Od kilku dni wiatr porządnie dmucha, kręcąc się śmigły, przychodzą liczne zamówienia na pierwszą mąkę, w potężnych czeluściach kolosa nikną żółte ziarenka zboża, aby za chwilę poczęła sypać się ładna mąka — rezultat ciężkiej, lecz pięknej pracy całorocznej. Oto matka — ziemia znowu będzie karmić swe dzieci przez długie miesiące — do przyszłego roku.

Wioska ta nie jest ani biedna, ani bogata, gospodarstwa nie są wielkie — najwyżej po kilka morgów ziemi, a jednak wszędzie można zauważyć porządek, systematyczność w pracy i planowość gospodarki rolnej. A to przecież wielkie bogactwo i skarb drogocenny. Przed parą laty zwolali gospodarze radę; co, jak i kiedy trzeba robić w polu, koło gospodarstwa, aby podnieść wydajność ziemi, a przez to kulturę swojej wsi i być przykładem dla innych? Delegat Rady Gospodarczej jeździ czasem do miasta po winy rolnicze, słucha komunikatów i odczytuje radiowych, łagodzi drobne sprzeczki, jest łącznikiem wsi ze dworem. Często takim delegatem jest sołtys. I wieś taka staje się solidarną rodziną, oparta na wzajemnej pomocy, świadczeniu pewnych usług, pracy we wspólnym wysiłku.

Takim właśnie wysiłkiem zbiorowym powstał sklep. Okno ukryło się tak wśród zieleni, że trudno dojrzeć, co jest za szybą powystawiane. Mała izba, po środku lada drewniana, pod ścianą otwarte szafy, pokazują swe skromne wnętrza. Tutaj wyglądają różnokolorowe pudełka zapolek, tam leżą równo poukładane lepy namuchy, pod białym myślmem chleb bułki, w szufladach, sól, mąka, trochę cukierków i czekolady za szkłem, niewielkie papierosów i machorki, na podłodze stoi bańka z naftą — i to prawie wszystko.

Opodal sklepu zamożniejszy gospodarz mlóci. Parę koni przy kieracie popędza dwunastoletni chłopiec. Wewnątrz stodoły, wśród pyłu wirujących plew, kobiety w barwnych chustkach na głowach, podają rozwiązane snopki do maszyny. Mlóci się z całą energią i wiarą w dobro i pożytek pracy. Nie każde gospodarstwo ma mlóckarnię. Lecz i to nie jest zmartwieniem, ani przyczyną do zazdrości — po prostu krótka pogawędka, aby móc skorzystać z swoje wymłócić. W zamian ofiarowuje się ręce do roboty, wypożyczy konia, załatwi po sąsiedzku jakiś interes — to jest wzajemne zrozumienie.

W dali, tuż pod lasem iglastym, na starej zrosniętej sosnie, mała kapliczka z Matką Boską Częstochowską. Czyżby ręce przybrały ją w zieleni, oczyściły i pajęczyny, wyprostowały zgięty krzyż, ktoś odmówił głośno „Anioł Pański“... ktoś podumał głęboko... ktoś znalazł ukojenie... ktoś mocno się wyżałił... A Ona — Matka wszystkich — słucha, pociesza, koi ból, czuwa bezustannie nad wsią, błogosławi wspólny wysiłek, wspólną pracę dla dobra Ojczyzny.

Maria Kopytowska



Grupa robotników polskich przy śniadaniu
Gospodarz i gospodyni przy koniu



SPRAWY GOSPODARCZE



Stefan Pawłowski

W jesieni na łące

Jesień jest bardzo odpowiednią porą do przeprowadzenia szeregu robót na łące. Do tych czynności należy przede wszystkim nawożenie łąki.

Jednym z najlepszych nawozów, stosowanych na łąkach jest kompost. Założyć kompost można w jesieni, o ile zgromadzone są potrzebne do tego materiały. Ponieważ na nawożenie łąki potrzeba względnie dużo kompostu, więc takich materiałów, z których robi się kompost ogrodowy, jak: chwastów, liści, zeskrobków z podwórza, popiołu, odchodów ludzkich i t. p. — zazwyczaj nie wystarcza i w celu powiększenia masy kompostu, oprócz powyższych materiałów, można użyć torfu i obornika. Zakładany kompost powinien znajdować się jak najbliżej od łąki, którą zamierzamy w przyszłości nawozić i pod żadnym względem nie można go umieszczać w dole, lecz na równym miejscu, niepodlegającym zalewom wód.

Kompost na łąki można przyrządzać z torfu i obornika. Kompost taki robi się w ten sposób, że najpierw usypuje się warstwę torfu, w postaci jakby grzędy, grubości 20—30 cm, szerokości około 2 metrów i dowolnej długości, zależnie od ilości przewidywanego materiału do robienia kompostu. Na tak ułożoną warstwę torfu daje się cieńszą warstwę gnoju, grubości 10 cm, lecz nieco węższą od niższej leżącej warstwy torfu. Następnie usypuje się drugą warstwę torfu, przykrywając ją całkowicie obornik, nie tylko z wierzchu lecz i z boków, żeby do obornika nie dochodziło powietrze. Ta druga warstwa torfu powinna być węższa od pierwszej, żeby układany kopiec zwał się ku górze. Następnie dajemy znów warstwę gnoju, później torfu itd., aż do wysokości 1½ metra. Gdy kopiec osiągnie tę wysokość, przykrywamy go ostatnią warstwą torfu, nadając grzbiętowi kopca kształt korytkowato-zagłębiony, żeby umożliwić zatrzymywanie się wody deszczowej oraz polewanie gnojówką lub wodą z sadzawki. Szerokość kopca u góry powinna wynosić około 1 m. Kopiec taki należy w ciągu roku 2—3 razy przekopać. Po upływie roku od chwili założenia, kompost będzie przedstawiał jednolitą, rozłożoną masę i będzie zdalny do użycia na łące.

Przy robieniu podobnego kompostu, w celu zaszczerpienia masie kompostowej pożytecznych drobnoustrojów, bardzo wskazany jest, oprócz obornika, dodatek gotowego kompostu, przyrządzonego z gospodarskich odpadków (zwykły kompost) lub zwykłej ziemi ogrodowej.

Dodatnie działanie zastosowanego na łące w jesieni kompostu przejawia się w ten sposób, że kompost, przykrywając obnażone korzenie i podziemne rozłogi traw, chroni je przed mrozem i suszącym

działaniem wiatru. Poza tym kompost wprowadza do gleby pokarmy, znajdujące się w przyswajalnej formie oraz pożyteczne drobnoustroje, robiące glebę łąkową bardziej czynną. Ponieważ wartość nawozowa kompostu bywa różna, zależnie od materiałów, z których kompost został zrobiony — daje się go różne ilości; na ogół kompostu wystarcza na ha od 25 do 50 fur, zależnie od rodzaju kompostu.

Ponieważ najczęściej w gospodarstwach rolnych nie zbiera się tyle materiałów, żeby można było co roku kompostować wszystkie łąki — więc zazwyczaj kompostuje się łąkę co 3—4 lata, a w międzyczasie nawozi się mineralnymi nawozami. Należy jednak dążyć do tego, żeby możliwie częściej kompostować łąkę, chociażby mniejszymi dawkami. Przed i po nawożeniu kompostem, należy łąki lekko zbrunować, żeby kompost równomiernie się rozłożył i żeby wywołać jego zetknięcie się z ziemią.

Korzystnym jest również wynawożenie łąki, zwłaszcza torfowej, cienką warstwą żyznej ziemi, pochodzącej z otaczających pól. Jesień jest najstosowniejszą porą do tej roboty. Grubość nawiezionej warstwy ziemi nie powinna przekraczać 2—3 cm, żeby dać możność trawom przejść się poprzez tę warstwę.

Jeżeli nie posiadamy kompostu, możemy łąkę w jesieni wynawozić obornikiem, jest to jednak mniej dogodne z tego względu, że obornika w ogóle jest mało w gospodarstwach, a zwłaszcza w jesieni;

Kretowiny należy przed zimą rozrzucać, w przeciwnym bowiem razie kretowiny z biegiem czasu pokryją się darnią i utworzą twarde kępki. Na łąkach torfowych kretowin najlepiej jest nie rozrzucać, lecz wdopywać je do ziemi lub wbić t. zw. „dołbnia”, lub „babą”. Jeżeli bowiem rozrzućmy kretowinę na glebie torfowej to z czasem na miejscu usuniętej kretowiny utworzy się jamka. Z mrowisk również z czasem tworzą się kępy, wobec czego trzeba je późną jesienią rozrzucać, poza tym obornik jest trudno tak równomiernie rozsypać po łące, jak kompost, bo, przy rozrzucaaniu, obornik pada w postaci zlepionych płastów i kłaków i w rezultacie jedne miejsca dostają za dużo obornika, inne za mało lub nic. Dlatego też, ze względu na większą łatwość użycia i znacznie ekonomiczniejsze wykorzystanie, celowiej jest kompostować obornik z torfem i innymi odpadkami, i w postaci kompostu stosować na łące, chociażby to wymagało więcej pracy. Obornika daje się na ha łąki 3—4 wozów jednokonnych, co 3—4 lata. Na wiosnę pozostałe słomiste części obornika, należy wygrabić, żeby nie zanieczyszczały siano.

Z nawozów domowego pochodzenia można stosować na łąki w ciągu całej jesieni, po sprzęcie otawy — gnojówkę, dając na ha od 5 do 10 tysięcy litrów. Ze

względu jednak na wielkie trudności, związane z gromadzeniem i wywożeniem gnojówki — celowiej jest polewać gnojówką kompost i dopiero później, w postaci kompostu, wywozić na łąki.

Do swego rodzaju nawożenia łąk mogą służyć łąty ziemniaczane, zwane u nas „kartoflannikiem”. Kartoflannikiem należy przykrywać łąkę niezagęsto, lecz w tym stopniu, żeby pod nią trawa nie wyprzała. Rozkładające się i ługowane przez deszcz lodygi ziemniaków dostarczają roślinności łąkowej pokarmów oraz chronią przed szkodliwym działaniem przymrozków. Na wiosnę pozostałe suche łąty należy wygrabić i użyć je na ściótkę lub kompost.

Z nawozów domowego pochodzenia pozostaje wymienić jeszcze popiół, który można zastosować w jesieni na łące. Popiół zawiera około 6—10% potasu, 3—4% fosforu i 30—55% wapna. Najbogatszy w te składniki jest popiół, pochodzący ze spalonego drobnego chróstu drzew liściastych, słomy liści itd. Popiołu daje się na ha około 10 q. Jednakowoż nawożenie samym popiołem na łąkach mineralnych jest niewystarczające z powodu braku w popiele azotu.

Z nawozów sztucznych, najodpowiedniejszymi do jesiennego nawożenia są: kainit, supertomasyna i azotniak.

Na 1 ha łąki mineralnej można dawać około 200—300 kg 16% supertomasyny, 600 kg kainitu i 100—150 kg 15,5% azotniaku. Na łąki torfowe wystarczy same tylko nawożenie fosforowo potasowe.

Mówiąc ogólnie o jesiennym nawożeniu łąk, należy zaznaczyć, że łąki w jesieni można nawozić tylko te, które nie podlegają zalewom wiosennych wód niezależnie od tego, jakie nawozy stosujemy. łąki zaś zalewane na wiosnę, należy nawozić wiosną, po ustąpieniu powodzi.

Do ważnych czynności jesiennych na łące, oprócz nawożenia, należy usuwanie nadmiaru wilgoci przed zimą. O ile wilgoć podczas najsilniejszego wzrostu traw na wiosnę i w lecie jest niezbędna, o tyle w zimie nadmiar wilgoci na łące, porośniętej słodkimi trawami, jest zgubny. Zwłaszcza szkodliwa jest stojąca woda, zamrażająca na powierzchni łąki. Taką wodę powierzchniową należy odprowadzić małymi rowkami. Ponieważ rowy w ciągu lata zarastają i zamulają się, więc należy je koniecznie w jesieni przeczyszczać, żeby umożliwić dobry odpływ wody.

W celu umożliwienia spływania powierzchniowej wody do rowów, należy już podczas kopania rowów dbać o to, żeby wydobyta ziemia została usunięta lub równomiernie rozrzucona po łące między rowami oraz żeby zasypane zostały wszelkie zagłębienia na łące, w przeciwnym bowiem razie pozostała burta nad rowem uniemożliwi spływ wody.

(Dokończenie nastąpi)

Szczypta humoru

PRZEWIDUJĄCY MĄŻ

— Mój mężusiu, sprawiłeś mi suknię spacerową na pogodę, za co ci ślicznie dziękuję.
— No i co z tego?
— Ale ponieważ czas jest fatalny, potrzeba mi sukni do wyjścia podczas deszczów.
— Moja kochana, tego już za wiele! Teraz chcesz suknię od „deszczu”, potem będziesz chciała od „gradu”, albo od „burzy”, a w końcu zachce ci się od wyjścia podczas trzęsienia ziemi!...

PO EGZAMINIE

— Jak się panu powiodło przy początkowym egzaminie?
— Nieświetnie, ale bodaj na pierwsze trzy pytania odpowiedziałem gładko.
— Cóż to były za pytania?
— Profesor zapytał mnie o imię, nazwisko i miejsce urodzenia.

PORADA LEKARSKA

— Lekarz zabronił mojej żonie gotować.
— Czy jej to szkodziło?
— Jej nie, ale mnie!

W KSIĘGARNI

— Proszę o książkę: „Jak złapać mężczyznę”, która leży na wystawie — mówi 9-letnia dziewczynka, wchodząc do księgarni.
— Na co ci taka książka?
— Dla tatusia na urodziny!
— Takich książek nie kupuje mała dziewczynka dla swego ojca!
— Dlaczego? Przecież mój tatuś jest policjantem!

WSPÓLNICY

W Meksyku słynął z dobrych interesów dom handlowy Cypidorusa.

Cypidorus nagle zachorował i na łożu śmiertelnym zaprosił swego współnika, powiadając:

— Umieram i chcę odejść bez grzechów. Wiesz co — sfalszowałem weksle. Czy przebaczysz mi?
— Cóż mam robić! Przebaczam.
— Ale to nie wszystko, ja jeszcze podrabiałem kwity i zabierałem pieniądze z kasy. Czy przebaczysz?
— Przebaczę.
— Ale to jeszcze nie wszystko, ja zdradziłem cię z twoją żoną...
— Przebaczam ci to, ale i ty mnie musisz przebaczyć.
— Co?
— Że ciebie otrułem.

PESYMISTA

W teatrze huczą oklaski. Rozpromieniony autor sztuki zwraca się do sąsiada:

— Słyszysz pan te brawa?
— Hm, tak, ale sala była nie ogrzana.

TRUDNY WYBÓR

— Dlaczego nie wychodzisz za męża za Władka?
— Za mało go znam!
— To wyjdź za Stefka.
— O, tego zbyt dobrze już poznałem.



— Rany boskie, tyle straciłem na randze. Muszę zaraz lekarzowi powiedzieć, żeby mi lepszą dietę przepisał!



— Niestety, nie mogę oddać panu mej córki za żonę, bo jest umysłowo chora.
— A jak się objawia jej choroba?
— Że zamierza wyjść za pana...

— Wyobraź sobie wczoraj spotkałem moją pierwszą miłość sprzed dziesięciu lat, Janinkę...
— No i co? Czy utrzymała dotąd swój dziewczęcy wygląd?
— Czy utrzymała? Ona go podwoiła...

Powiedzenie „wszystko to już było”, wymyślone zostało przez zdecydowanego pesymistę, jak tego dowodzi nowy wykaz statystyczny angielskiego czasopisma, wydawanego przez hodowców psów.

Oto w ostatnich 30 latach wyhodowano aż 140 nowych gatunków psów. Nowe te okazy były na początku bieżącego stulecia zupełnie nieznane. Najwięcej odmian wykazuje rasa terrierów, a ostro-włosy fox terrier nazwany tam został najmłodniejszym psem 20 wieku.

— He razy pan! do mnie się uśmiechnie, chciałyby powiedzieć: Przyjdź do mnie!
— Ależ panie, coż to za sposób? Pan jest prawdziwym donżuanem.
— Nie, tylko dentystą.

Ojciec uroczej panny Zuzi znany jest z brutalności. Onegdaj zauważył jakieś czułości między córką, a 18-letnim panem Stefkiem. Oburzony chwycił młodego człowieka za kark i wyrzucił go za drzwi potężnym kopniakiem.

Na drugi dzień zjawiają się u niego dwaj młodzi ludzie. — My w sprawie Stefana — oświadczają.

— Co takiego? — woła wściekły ojciec. — Może sprawa honorowa, co? Chcecie, żebym się z tym durniem pojedynekował? Ach, wy! Smarkacze, gołowąsy...

— Prze... przepraszamy,, baka jeden z przybyłych, ale my wcale nie o to..

— A o co?
— Chcieliśmy spytać: czy pan nie wstąpiłby na członka do naszego klubu piłkarskiego...

— Panie doktorze, może pan zechce mi powiedzieć na co jestem chory. Ale proszę wyraźnie, po polsku, nie po łacinie, gdyż chcę nareszcie wiedzieć co mi jest...

— Proszę bardzo, kochany panie! Rzecz jest prosta. Pan pije za wiele i to odbija się ujemnie na działalności serca...

— Ach tak! To może teraz pan będzie łaskaw zapisać mi, jak się to po łacinie nazywa, żebym mógł powiedzieć żonie...

Wkrótce po wystartowaniu wielkiego samolotu komunikacyjnego, utrzymującego połączenie między Londynem a Szkocją, nastąpiła katastrofa. Oba motory przestały działać. Pilot nie mógł ryzykować lądowania. Pasażerom polecono wyskakowanie ze spadochronem.

W przeciągu pięciu minut wnętrze samolotu opustoszało. Pilot, który sam przygotowywał się do skoku, stwierdził z zadowoleniem, że wszystkie spadochrony rozwinęły się. Aparat znajdował się jeszcze na wysokości 1500 m.

Dzielny lotnik policzył spadochrony w powietrzu i nagle obejrzał się poza siebie z przerażeniem. Za jego plecami siedział sobie spokojnie Mac Patrick, znany i szanowany obywatel miasta Aberdeen (Szkocja). Miał wprawdzie spadochron na plecach, ale nie zdradzał żadnych zamiarów wyskokowania.

— Co panu jest? Skacz pan natychmiast — ryknął pilot — aparat cudem utrzymuje równowagę, ale schodzimy gwałtownie w dół. Za chwilę może być zapóźno.

— Skoczę dopiero wtedy, gdy mi pan zwróci pieniądze, które wydałem na bilet — odparł nie-wrzuszony Mac Patrick.

Radia amerykańskie, które jak wiadomo, są prywatnymi przedsiębiorstwami, wysiłały się na oryginalne reklamy. Onegdaj zapowiedział jeden z speakerów w Nowym Yorku:

— Szanowi radiosłuchacze, uwaga! Teraz przez piętnaście minut nie będziecie absolutnie nic słyszeli. Zaprodukujemy wam minutowie działanie bezgłośnej maszyny do szycia!...

Wielki pisarz ukończył wspaniałą powieść i cieszył się jak dziecko. Biegał po mieszkaniu i wołał: „Koniec, fajrant, święto... Teraz odpoczywamy!”

Z kuchni wyjrzała stara kucharka:
— Rozumiem, rozumiem pana — rzekła z rozrzwaniem. — Mam to samo uczucie po wielkim praniu,,

— Czy mogę złożyć u stóp pani ten skromny podarek...

— Nie, nie drogi panie! Od mężczyzny nie przyjmuję nigdy żadnych podarków...

— Ależ to jest tomik moich wierszy...
— Ach, to co innego. Myślałam, że coś wartościowego...

Kaziowi polecono ograniczyć jak najbardziej palenie. Co najwyżej jedno cygaro po jedzeniu. W tygodniu Kazio przychodzi do lekarza. Wygląda świetnie.

— Doskonale pan wygląda — mówi doktor.
— Sztuka! — odpowiada Kazio — skoro jestem sześć razy dziennie.

Nauczyciel chce uczniom wytłumaczyć symboliczną różnicę między różą i fiołkiem.

— Wyobraźcie sobie, że na ławce siedzi piękna pani. Ma głowę dumnie podniesioną i jest bardzo ślicznie wystrojona. A obok niej siedzi niepozorny, ciche stworzenie. Jest ubrane skromnie i miło zwraca na nie uwagi. Kto to jest?

Zgłasza się mały Jasio:
— To jej mąż, panie nauczycielu.



— Ja pani wynagrodzę stratę tej kury!
— Co pan powie? A jakże też pan mi bodajże enosił?